Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 30. Listopada 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 44.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

SZKICE WĘGLEM.

L I T W O S A.

(*Ciąg dalszy.*)

Sprawa całkowicie była ukończona i przystąpionoby zapewne bezzwłocznie do rozstrząsania innych, gdyby nie nagłe, a niespodziewane wtargnięcie do izby prawodawczej, dwóch prosiąt, które wpadłszy jak szalone przez niedomknięte drzwi, zaczęły bez żadnej rozumnej przyczyny latać po izbie, kręcić się pod nogami i kwiczeć w niebogłosy. Oczywiście obrady zostały przerwane, ciało prawodawcze zaś rzuciło się w pogoń za intruzami i przez pewien czas deputowani z rzadką jednomyślnością powtarzali: „a syk! a ciu! ażeby was paralus!“ i tym podobne. Prosięta tymczasem zabiły się pod nogi pana Zołzikiewicza i splamiły mu jakąś zielonością drugą parę kortowych, koloru piaskowego — a która to zieloność wyprać się nie dała, choć pan Zołzikiewicz zmywał ją glicerynowem mydłem i tarł własną szczoteczką od zębów.

Dzięki jednak stanowczości i energji, która jak nigdy, tak i w tym wypadku nie opuściła przedstawicieli gminy baraniogłowskiej, prosięta zostały pochwycone za zadnie nogi, i mimo najusilniejszych protestacji, wyrzucone za drzwi, poczem już można było przejść do porządku dziennego. Na porządku tym znajdowała się obecnie sprawa włościanina imieniem Środa, ze wzmiankowanym wyżej panem Flossem. Zdarzyło się, że woły Środy, najadłszy się w nocy koniczyny pana Flossa, nad ranem opuściły ten padół łez i nędzy, przeniósłszy się do lepszego — wołowego świata. Zrozpaczony Środa, przedstawił całą tę smutną sprawę sądowi, prosząc o poratowanie i sprawiedliwość.

Sąd, wniknąwszy w głąb rzeczy, z właściwą sobie bystrością doszedł do przekonania, że choć Środa puścił umyślnie woły na pole pana Flossa, jednakże gdyby na tem polu rósł owies albo pszenica, nie zaś ta „gadzina“ koniczyny, woły cieszyłyby się dotychczas najlepszem i najpożądańszem zdrowiem, i z pewnością nie doznałyby tych smutnych przypadłości rozdęcia, których padły ofiarą. Wychodząc z tej premissy większej, i przechodząc drogą, równie logiczną, jak ściśle prawną, do mniejszej, sąd wniósł, że przyczyną śmierci wołów w każdym razie był nie Środa, ale pan Floss; zatem pan Floss powinien Środzie za woły zapłacić, tytułem zaś przestrogi na przyszłość, wnieść do kassy gminnej na kancelarję rs. 5. Suma powyższa, na wypadek gdyby obwiniony wypłaty jej odmówił, miała być ściągniętą z jego pachciarza Icka Zwejnos.

Następnie sądzono jeszcze wiele spraw natury cywilnej, wszystkie zaś one, o ile nie dotyczyły bliżej lub dalej, gienialnego Zołzikiewicza, były radzone zupełnie samodzielnie— a przytem na wagach czystej sprawiedliwości, zawieszonych na zdrowym baraniogłowskim rozumie. Dzięki przytem angielskiej zasadzie nieinterwencji, jakiej trzymała się wspomniana już wyżej „intelligencja,“ powszechna zgoda i jednomyślność rzadko tylko bywały zakłócane ubocznemi wzmiankami o paraliżu, przegniciu wątroby, i morowej zarazie, wypowiadanemi sobie mimochodem w kształcie życzeń, tak przez strony sporne, jak i przez samych sędziów.

Sądzę, że również dzięki tej nieocenionej zasadzie nieinterwencji, wszystkie sprawy mogły być rozstrzygane w ten sposób, że tak strona wygrywająca, jak i przegrywająca, wnosiły zawsze pewne kwoty, stosunkowo dość znaczne, „na kancelarją.“ — Zapewniało to ubocznie tak pożądaną w instytucjach gminnych niezależność wójta i pisarza, a wprost, mogło oduczyć ludzi pieniactwa, i podnieść moralność gminy Barania-Głowa do stanu, o jakim napróżno marzyli filozofowie XVIII stulecia. Godnem było uwagi także i to, o czem zresztą wstrzymujemy się od wypowiedzenia pochwalnego lub nagannego zdania, że pan Zołzikiewicz zapisywał do ksiąg zawsze tylko połowę kwot przeznaczonych na kancelarję, druga zaś połowa przeznaczona była na „nieprzewidziane wypadki,“ w jakich znaleźć się mogli pisarz, wójt i ławnik Gomuła.

Nakoniec przystąpiono do sądzenia praw kryminalnych, skutkiem czego wydano rozkaz stójce przyprowadzenia więźniów i stawienia ich przed oblicze sądu. Nie potrzebuję dodawać, że w gminie Barania-Głowa przyjęty był najnowszy i najbardziej zgodny z wymaganiami cywilizacji system więzienia cellularnego, czyli komórkowego. Nie może to być podawanem przez złe języki w żadną wątpliwość. Jeszcze dziś każdy może się przekonać, że w wójtowskim chlewku w Baraniej-Głowie, znajduje się aż cztery przegrody. Więźniowie siedzieli w nich samotnie, w towarzystwie zwierząt, o których pewna „Zoologia dla użytku młodzieży“ mówi: Świnia, zwierzę słusznie tak nazwane dla swojej niechlujności etc.“ — a którym natura bezwarunkowo odmówiła rogów, co może także służyć za dowód jej celowości. — Otóż więźniowie siedzieli w komórkach tylko w takiem towarzystwie — co jak wiadomo, nie mogło im przeszkadzać oddawaniu się refleksji, rozmyślaniom nad złem popełnionem i przedsiębraniu poprawy życia

Stójka tedy udał się bezzwłocznie do owego celkowego więzienia, i z celek jego przyprowadził przed oblicze sądu, nie dwóch, ale wyraźnie dwoje przestępców, z czego czytelnik może wnieść łatwo, jak delikatnej natury, i jak głęboko-psychologicznie zawikłane sprawy przychodziło czasem baraniogło-

wskiemu sądowi rozstrzygać. —Jakoż istotnie, sprawa była arcy-delikatna. Pewien Romeo, inaczej zwany Wach Rechnio — i pewna Julia, inaczej zwana Baśka Żabianka, służyli razem u pewnego gospodarza — on za parobka, ona za dziewkę. I co tu ukrywać: kochali się nie mogąc żyć bez siebie, tak jak Newazendech bez Bezewendecha. Wkrótce jednak zazdrość wkradła się między Romea a Julię, ponieważ ta ostatnia ujrzała raz Romea, zabawiającego się przydługo z Jagną ze dworu. Odtąd nieszczęśliwa Julia czekała tylko okazyi. Jakoż pewnego dnia, gdy Romeo, wedle zapatrywania się Julji, zawcześnie przyszedł z pola, i natarczywie domagał się jeść, przyszło do wybuchu i zobopólnych wyjaśnień, przyczem zamieniono wzajemnie kilka tuzinów uderzeń pięścią i warząchwią. Oczywiście ślady tych uderzeń widne były w sińcach na idealnej twarzy Julji, również jak i na rozciętym czole, pełnego męzkiej dumy oblicza Romea. Sądowi pozostawało teraz zawyrokować, po czyjej stronie była słuszność, i kto komu miał wręczyć tytułem wynagrodzenia, tak za zawód miłosny, jak i za skutki wybuchu, złotych pięć, czyli wyrażając się poprawniej, kop. sr. siedmdziesiąt pięć.

Zdrowej duchowej treści sądu nie zdołał jeszcze owionąć przegniły powiew zachodu; dla tego brzydząc się do głębi duszy emancypacją kobiet, jako rzeczą wprost przeciwną więcej sielankowym usposobieniom słowiańskim, sąd dał pierwszy głos Romeowi, który trzymając się za rozcięty łeb, tak mówić począł:

—Jelemożny sądzie! A to ta psia jucha, już dawno spokoju mi nie daje. Przyszedłem, jak kto dobry na podwieczerz, a ona do mnie: „Ty psie kasztanie (powiada), to gospodarz jeszcze w polu, a ty (pada) przychodzisz już do domu? — Za piecem (pada) się układziesz i będziesz na mnie mrygał?“—A ja ta, nigdy na nią nie mrygałem, ino co mnie widziała z Jagną ze dwora, com jej pomógł wiader ze studni wyciągać, to od tego czasu na mnie zła. — Huknęła mi misą o stół, mało mi strawa nie wyleciała, a potem mi i pożreć nie dała, tylko tak mi wymyślała: „Ty pogański synu (pada), ty odmieńcze, ty omętro, ty sufraganie!“ Dopiero, jak mi powiedziała: „sufraganie,“ tak ja ją w pysk, ale ino tak — przez złości, a ona mnie warząchwią w łeb.........

Tu idealna Julia nie mogła już wytrzymać, ale złożywszy pięść, i podsunąwszy ją pod nos Romea, krzyknęła przeraźliwym głosem....

—A nieprawda! nieprawda! nieprawda! Szczekasz jak pies!

Potem rozpłakała się całem wezbranem sercem i zwróciwszy się do sądu poczęła wołać:

— Jelemożny Sądzie! O ja nieszczęśliwa sierota, o dla Boga, rety! Nie przy studni ja jego z Jagną widziałam — żeby ich olśnęło! Rozpuśniku! powiadam, małoś to razy gadał do mnie, co mnie tak kochasz, żebyś ino zaraz chciał mnie pięścią pod ziobro! Ażeby on skapiał, żeby jemu język kołem stanął. Nie warząchwiąby jego po łbie — oj! dołoż moja! — ino kłonicą. Słońce jeszcze wysoko, a on już z pola schodzi i zreć woła: Mówię mu jak komu dobremu grzecznie: Ty złodziejski portrecie, to gospodarz jeszcze w polu, a ty już do dom? — Ale: sufraganie! mu nie mówiłam, tak mi Panie Boże dopomóż. A żeby jego...

W tem miejscu wójt przywołał do porządku obwinioną, uczyniwszy jej uwagę w kształcie zapytania:

— Nie stulisz-że ty mordy utrapiona?

Nastała chwilowa cisza; sąd począł się namyślać nad wyrokiem i — co za delikatne poczucie sytuacji! — pięciu złotych nie przysądził żadnej stronie, ale tylko, tak dla zachowania swej powagi, jak i dla przestrogi wszystkim zakochanym parom w całej Baraniej-Głowie, skazał skarżących się na odsiedzenie jeszcze dwudziestu czterech godzin w celowem więzieniu, i na zapłacenie na kancelarję po rubli srebrem jeden.

„Od Wacha Rechnia i Baśki Żabianki, na kancelarję po kopiejek srebrem pięćdziesiąt,“ zapisał pan Zołzikiewicz.

Poczem posiedzenie było skończone. Pan Zołzikiewicz wstał i pociągnął swoje kortowe koloru piaskowego w górę, a fioletową kamizelkę na dół. Ławnicy, w zamiarze rozejścia się, już brali za czapki i bicze, gdy nagle drzwi zamknięte po napadzie prosiąt, rozwarły się na oścież, i ukazał się w nich Rzepa chmurny jak noc, a za nim Rzepowa i Kruczek.

Rzepowa była bledziusieńka jak płótno; jej śliczne delikatne rysy wyrażały smutek i pokorę, a w wielkich czarnych oczach ukazywały się łzy, ściekające następnie po policzkach.

Rzepa wszedł było hardy, z głową zadartą, ale jak zobaczył cały sąd, tak zaraz stracił minę, i dość cichym głosem ozwał się:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli chórem ławnicy.

— A wy tu czego chceta? — spytał groźnie wójt, który zrazu zmięszał się, ale już przyszedł do siebie. Sprawę jaką mata? pobiliśta się — czy co?

Nadspodziewanie pan pisarz wtrącił.

— Dajcie im mówić.

Rzepa zaczął:

— Jelemożny sądzie... A niechto najjaśniejsze...

— Cichaj! cichaj! — przerwała prędko kobieta — dajże mnie mówić, a ty cicho siedź.

To rzekłszy obtarła fartuchem łzy i nos, i głosem drgającym poczęła opowiadać całą sprawę. Ach! ale gdzież to ona przyszła? Oto przyszła na skargę na wójta i na pisarza — przed... wójta i pisarza. Wzięli go — mówiła — obiecowali mu las byle podpisał, to i podpisał. Dali mu pięćdziesiąt rubli, a on był pijany i nie wiedział, że zaprzedaje dolę swoją i moją i dzieciaka. Pijany był! wielmożny sądzie — pijany jak nieboskie stworzenie! — mówiła dalej już z płaczem. Toć pijany nie wie co robi, toć i w sądzie, jak kto po pijanemu przeskrobie, to mu folgują, bo powiadają: nie wiedział co robił. Na miłosierdzie Boże! a toć trzeźwy człowiek nie sprzedałby za pięćdziesiąt rubli doli swojej! Oj ulitujta wy się nademną i nad nim i nad dzieckiem! niewinnem! W co ja się obrócę nieszczęśliwa! sama, samiusieńka na świecie bez niego, bez nieboracyska mojego! Oj Bóg wam za to da szczęście i zapłaci wam za biedaków.

Tu łkanie przerwało jej dalsze słowa. Rzepa także płakał i wycierał co chwila nos w palce. Ławnicy posowieli i spoglądali jeden na drugiego, to znów na pisarza i wójta, nie wiedząc co czynić.

Aż Rzepowa znowu zebrała się z głosem i tak mówić poczęła:

—Chłopsko chodzi jak struty. „Ciebie— powiada —zabiję, dzieciaka zgładzę, chałupę spalę, a — powiada — nie pójdę i nie pójdę. A cóżem ja winna nieboga? albo i dzieciak? On już ani do gospodarstwa, ani do kosy, ani do siekiery, ino siedzi w izbie i wzdycha i wzdycha — ale ja sądu czekałam; toć wy ludzie macie Boga w sercu, i na naszą krzywdę nie pozwolicie. Jezusie Nazareński, o Matko Boska Częstochowska! przyczyńże ty się; przyczyń za nami!...

Przez chwilę słychać znów było tylko szlochanie Rzepowej, nakoniec stary jeden ławnik mruknął:

— A — dyć to nie ładno człeka upoić i zaprzedać.

— Bo i nie ładno! — odpowiedzieli inni.

—Niech was Bóg i Przenajświętsza jego rodzicielka błogosławi — zawołała klękając w progu Rzepowa.

Wójt zasromał się, nie mniej markotny był i ławnik Gomuła — obaj zaś spoglądali na pisarza, który milczał, ale gdy Rzepowa skończyła, rzekł do mruczących ławników:

— Jesteście durnie!

Nastała cisza jak makiem siał, pisarz mówił dalej.

— Wyraźnie stoi napisane, że kto się będzie wtrącał do dobrowolnego kontraktu, będzie sądzony morskim sądem, a czy wiecie durnie co to jest morski sąd? Wy tego durnie nie wiecie, morski sąd to jest...

Tu wydobył chustkę i utarł nos, poczem głosem zimnym i urzędowym tak dalej swoją rzecz prowadził:

— Który kpie jeden z drugim nie wiesz co jest morski sąd, to wsadź tylko nos w taką sprawę, a poznasz co to jest morski sąd, aż cię siódma skóra zaboli. Jak się ochotnik znajdzie za popisowego, to tobie jednemu z drugim wtrącać się do nich wara. Ugoda podpisana, świadkowie są i szabas! To się rozumie w jurysprudencji, a nie wierzysz, to patrz w procedurze i w zsyłkach. A jeśli i piją przytem, to i cóż? Albo to wy nie pijecie durnie zawsze i wszędzie?

Gdyby sama sprawiedliwość z wagą w jednem, a gołym mieczem w drugiem ręku, wylazła z za wójtowskiego pieca i stanęła nagle między ławnikami, nie byłaby ich więcej przestraszyła, jak ten: morski sąd, procedury i zsyłki. Przez chwilę panowało głuche milczenie i dopiero po niejakim czasie ozwał się Gomuła cichym głosem, na który obejrzeli się wszyscy, jakby zdziwieni jego śmiałością:

—Dyć prawda! konia sprzedasz, napijesz się; wołu sprzedasz — też — świnię — też. To już taki obyczaj.

—Toćwa napiliśmy się i wtedy ino wedle obyczaju — wtrącił wójt.

A potem ławnicy śmielej zwrócili się do Rzepy.

— Cóż, kiejś sobie piwa nawarzył, to go pij.

— Albo to tobie sześć lat? albo ty nie wiesz co robisz?

— Łba ci przecięć nie urwią.

— A jak pójdziesz do wojska, to se do dom możesz parobka nająć — on cię ta zastąpi i przy chałupie i przy kobiecie.

Wesołość poczęła ogarniać zwolna zgromadzenie.

Nagle pisarz znowu otworzył usta, ucichło się wszystko.

— Ale wy nie wiecie — mówił — w co wam się wtrącać, a czego nie tykać. W to, że Rzepa groził żonie i dzieciakowi, w to, że obiecywał spalić własną chałupę, w to wy się wtrącać możecie, i takiej rzeczy płazem nie puścić. Kiedy Rzepowa przyszła na skargę, niech że od sądu bez sprawiedliwości nie odchodzi.

— Nieprawda! nieprawda! — zawołała z rozpaczą Rzepowa — ja się nie skarżyłam, ja ta nigdy żadnej krzywdy od niego nie doznałam. O Jezusie, o rany słodkie Boga żywego, chyba się świat już skończył!

Ale sąd się zagaił, i bezpośrednim jego rezultatem było, że Rzepowie nietylko nic nie wskórali, ale jeszcze sąd, w słusznej troskliwości o całość Rzepowej, postanowił ją ubezpieczyć, przez zamknięcie Rzepy w chlewku na dwa dni. Żeby zaś na przyszłość podobne myśli nie przychodziły mu do głowy, postanowionem było przytem, żeby na kancelarję zapłacił rs. dwa kopiejek pięćdziesiąt.

Ale Rzepa rzucił się jak wściekły, i krzyknął, że do chlewka nie pójdzie; co zaś do kancelaryjnego, to nie dwa, ale pięćdziesiąt rubli wziętych od wójta, rzucił na ziemię, wołając: „Niech je se ta bierze kto chce!“ Zaczął się rozgardajsz straszny. Stójka wpadł i dalej Rzepę ciągnąć: Rzepa go pięścią, on Rzepę za łeb; Rzepowa w krzyk, aż jeden z ławników wziął ją za kark i wyrzucił za drzwi, dawszy pięścią w krzyż na drogę — inni zaś pomogli Stójce zaciągnąć Rzepę za kołtuny do chlewka.

Pisarz tymczasem zapisał: „Od Wawrzona Rzepy rs. 1 kop. 25 na kancelarję.“

Rzepowa szła do pustej chałupy, prawie bez przytomności. Nie widziała nic przed sobą, i co kamień to się o niego potknęła, a ręce łamała nad głową, a zawodziła:

— Oo! oo! oo!

Wójt — że to miał serce dobre — więc idąc zwolna z Gomułą ku karczmie, rzekł:

— Mnie ta cosik tej baby żal. Albo im dołożę jeszcze ćwiartczynę grochu — albo co!

VI.

Imogena.

Tu spodziewam się że czytelnik dostatecznie zrozumiał już i ocenił genialny plan mego sympatycznego bohatera. Dał pan Zołzikiewicz, co się nazywa: szach-mat Rzepowej i Rzepie. Zapisać Rzepę na listę, to do niczego nie wiodło. Ale upoić go, sprawić, żeby sam ugodę podpisał, pieniądze wziął, to trochę wikłało sprawę i było zręcznością, dowodzącą, że przy zbiegu okoliczności, pan Zołzikiewicz mógłby odegrać znakomitą rolę. Wójt, który był gotów syna za ośmset rubli, to jest zapewne całą swoją „koprowinę“ wykupić, zgodził się na ten plan z radością, tembardziej, że Zołzikiewicz, równie umiarkowany jak genialny, wziął dla siebie tylko dwadzieścia pięć rubli za sprawę. — Ale on i te pieniądze wziął nie z chciwości, tak jak również nie z chciwości dzielił się kancelaryjnem z Burakiem. Mamże wyznać, że pan Zołzikiewicz był w ciągłych długach u Srula krawca z Osłowic, który całą okolicę zaopatrywał w „cisto paryzką“ garderobę. — A teraz, gdym już raz wszedł na drogę wyznań, nie będę także ukrywał, dla czego pan Zołzikiewicz ubierał się tak starannie. Płynęło to — zapewne — z estetycznego poczucia, ale był i inny powód. Oto pan Zołzikiewicz się kochał. Nie myślcie jednak, żeby w Rzepowej. Na Rzepową miał, jak się kiedyś wyraził sam: „apetycik“ i basta. Ale oprócz tego pan Zołzikiewicz zdolny był i do uczuć wyżej sięgających i bardziej złożonych. — Czytelniczki, jeżeli nie czytelnicy, domyślają się już zapewne, że przedmiotem tych ostatnich uczuć nie mógł być przecie kto inny, jak panna Jadwiga Skorabiewska. Nieraz, kiedy na niebie wschodził srebrny księżyc, pan Zołzikiewicz brał harmonijkę, na którym to instrumencie grywał biegle, siadał na ławce przed czworakami, i spoglądając w stronę dworu, przy melancholicznych, a czasem i sapiących dźwiękach, nucił:

„A od samego prawie świtania
„Do późnej nocy łzy leję
„W nocy oddycham, przez ciężkie wzdychania
„Straciłem wszelką nadzieję.

Głos biegł w stronę dworu, wśród poetycznej ciszy nocy letnich, a pan Zołzikiewicz dodawał jeszcze po chwili:

„O ludzie, ludzie, ludzie nieczuli,
„Coście młodzieńca życie zatruli.

Ktoby jednak chciał posądzać pana Zołzikiewicza o sentymentalizm, temu wręcz powiem, że się myli. — Nadto trzeźwy był umysł tego wielkiego człowieka, aby być sentymentalnym; w marzeniach też jego, zwykle panna Jadwiga podstawiała się za Izabellę — on za Serrana lub Marforego. Że jednak rzeczywistość nie odpowiadała marzeniom, więc ten żelazny człowiek raz jeden zdradził się ze swojem uczuciem, a mianowicie wtedy, kiedy pewnego wieczora, spostrzegł na sznurze koło drwalni suszące się spodnice, i po znakach J. S., wraz z koroną przy rąbku, poznał, że należą do panny Jadwigi. Wówczas — powiedz pan dobrodziej, któżby wytrzymał? — więc i on nie wytrzymał; zbliżył się i począł gorąco całować jedną z tych spodnic, co zobaczywszy dworska dziewka Małgośka, poleciała zaraz do dworu z językiem i doniesieniem, że „pan pisarz nos se w panienki spódnicę wyciero.“ Na szczęście jednak nie uwierzono temu — i tak uczucie pana pisarza pozostało nieznanem nikomu.

Czy jednak miał jaką nadzieję? Nie bierzcie mu państwo dobrodziejstwo tego za złe: miał! Ile razy szedł do dworu, jakiś głos wewnętrzny, słaby wprawdzie, ale nie ustający szeptał mu do ucha: „A nuż dziś panna Jadwiga w czasie obiadu przydepnie ci nogę pod stołem?“...

— Hm! mniejszaby i o lakierki — dodawał z ową wielkością duszy, właściwą prawdziwie zakochanym.

Czytanie wydawnictw pana Breslauera, dawało mu wiarę w możliwość rozmaitych przydeptywań. — Ale panna Jadwiga nietylko mu nic nie przydeptywała, ale — któż zrozumie kobietę? — patrzyła na niego, tak jakby patrzyła na płot, na kota, na talerz, lub coś podobnego. Co on się biedak nie namęczył, żeby zwrócić jej uwagę na siebie.— Nieraz, zawiązując niesłychanego koloru krawat, lub kładąc jakieś nowe korty z bajecznemi lampasami, myślał sobie: „No teraz przecież zauważy!“ Sam Srul, odnosząc mu nowe ubranie, mawiał: „Ny! w takich spodniach, to choćby z psieprosieniem do hrabianki można iść.“ Gdzietam! Przyszedł było na obiad; wchodzi panna Jadwiga, dumna, niepokalana i czysta, jakby jaka królowa; zaszeleści suknią, fałdami i fałdeczkami; potem siada, bierze w cienkie paluszki łyżkę i ani spojrzy.

— Czy ona tego nie rozumie, że to i kosztuje! — myślał z rozpaczą Zołzikiewicz.

Jednak nadziei nie tracił. „Gdyby tak zostać podrewizorem! — myślał — człowiekby ani nogą ze dworu. — Z podrewizora do rewizora niedaleko! człowiekby miał najtyczankę, parę koni — a to choćby już wtedy przynajmniej rękę uścisnęła pod stołem....“ Pan Zołzikiewicz zapuszczał się jeszcze w niezmiernie dalekie konsekwencje tego uściśnienia ręki, ale myśli tych, jako zbyt tajemnie-serdecznych, zdradzać już nie będziemy.

Jak to jednak była natura bogata, ten Zołzikiewicz, dowodzi tego łatwość, z jaką obok idealnego uczucia dla panny Jadwigi, które zresztą odpowiadało arystokratycznym usposobieniom tego młodzieńca — mieściło się w nim równoznaczne z „apetycikiem“ uczucie do Rzepowej. Prawda, że Rzepowa była śliczna kobieta co się nazywa; nie byłby jednak zapewne ów baraniogłowski Don Juan tyle jej zachodów poświęcał, gdyby nie dziwna i zasługująca na ukaranie oporność tej kobiety.— Oporność w prostej kobiecie—i komu? jemu, wydawała się panu Zołzikiewiczowi czemś tak zuchwałem, a zarazem niesłychanem, że nietylko Rzepowa nabrała zaraz w jego oczach uroku zakazanego owocu, ale postanowił przytem dać jej naukę, na jaką zasługiwała. — Zajście z Kruczkiem ustaliło go jeszcze w przedsięwzięciu. — Wiedział jednak, że ofiara będzie się bronić, dla tego wymyślił ową dobrowolną ugodę Rzepy z wójtem, która oddawała, pozornie przynajmniej, w moc kanclerza tak samego Rzepę, jak i całą jego rodzinę.

Ale Rzepowa, po owem zajściu w sądzie, nie dawała jeszcze za wygranę. Nazajutrz była niedziela, postanowiła więc pójść, jak zwykle, na sumę do Wrzeciądzy, a zarazem poradzić się księdza. Księży było dwóch, jeden proboszcz kanonik Ulanowski, ale tak już stary, że aż mu oczy ze starości na wierzch wyłaziły jak rybie, a głowa kręciła się na obie strony — nie do niego postanowiła więc udać się Rzepowa, ale do wikarego, księdza Czyżyka, który był człowiek bardzo świąto-

*

bliwy i rozumny, mógł więc dobrą radę dać i pocieszyć. — Chciała była Rzepowa pójść wcześnie i jeszcze przed sumą się z księdzem Czyżykiem rozmówić, ale że to musiała i za siebie i za męża robić, bo mąż siedział w chlewku, nim więc poprzątnęła chałupę, nim dała jeść koniowi, świniom i krowie, nim ugotowała śniadanie i zaniosła je w dwojakach Rzepie do chlewa, słońce było już wysoko i wymiarkowała, że przed sumą nie zdąży.

Jakoż, gdy przyszła, nabożeństwo już się zaczęło. Kobiety, poubierane w zielone przyjaciółki, siedziały na cmentarzu i duchem kładły trzewiki, które ze sobą w rękach przyniosły. Uczyniła tak i Rzepowa i zaraz weszła do kościoła. Ksiądz Czyżyk właśnie miał kazanie, a kanonik siedział w birecie na krześle wedle ołtarza i wytrzeszczał oczy, trzęsąc głową swoim zwyczajem. Było już po ewangielji, teraz zaś, nie wiem już zresztą z jakiego powodu ksiądz Czyżyk tłumaczył swoim parafianom, w jaki jedynie sposób mają zapatrywać się tak na ową herezję, jak i na bullę „Ex stercore" przeciw niej wymierzoną. Potem bardzo wymownie i z wielkiem przejęciem się, ostrzegał swoje owieczki—aby jako prostaczkowie—ubodzy niby owi ptakowie niebiescy, a zatem mili Bogu, nie słuchali rozmaitych fałszywych mędrców i w ogóle ludzi zaślepionych pychą szatańską, którzy kąkol sieją zamiast pszenicy, a łzy i grzech zbierać będą. Tu mimochodem wspomniał o Condillac'u, Voltairze, Rousseau i Ochorowiczu, nie czyniąc zresztą między tymi mężami różnicy, a w końcu przeszedł do szczegółowego opisywania rozmaitych nieprzyjemności, na jakie potępieńcy będą na tamtym świecie narażeni. A w Rzepową odrazu jakby inny duch wstąpił, bo choć i nie rozumiała tego, co ksiądz Czyżyk mówił, ale pomyślała sobie, że „juści musi pięknie mówić, kiedy tak krzyczy, że aż cały w potach stanął, a ludziska to tak wzdychają, jakby już ostatnią parę mieli puścić". Potem kazanie się skończyło, a zaczęła się summa. Oj! modliła się też Rzepowa nieboga modliła, jak nigdy w życiu, ale też czuła, że jej coraz lżej i lżej na sercu.

Aż wreszcie nadeszła uroczysta chwila. Bielusieńki jak gołąb dziekan, wydobył Przenajświętszy Sakrament z cymborjum, a potem odwrócił się do ludzi trzymając w drżących rękach monstrancją jak słońce, tuż koło twarzy. Przez chwilę zdawał się zbierać z duchem — aż wreszcie zaintonował: „Przed tak wielkim Sakramentem!

A ludzie we sto głosów huknęli mu zaraz w odpowiedź:

„Upadajmy na twarzy,
„Niech ustąpią z testamentem
„Nowym prawom już starzy.
„Wiara będzie suplementem,
„Co się zmysłom nie zdarzy...

Pieśń brzmiała, aż się szyby zatrzęsły; zahuczał organ, zabrzęczały dzwonki i dzwony; przed kościołem grzmiał bęben, z trybularzy wzniosły się dymy błękitne, a słońce weszło przez okno i oświeciło, jakoby tęczą, owe zwoje. — Wśród tego gwaru, dymów, promieni, głosów, błyskał tylko czasem wysoko Przenajświętszy Sakrament, który ksiądz to zniżał, to podnosił — i wydawał się wówczas ów biały staruszek z monstrancją, jak jakieś zjawisko niebieskie, nawpół mgłą dymów przesłonione a promienne, od którego biła błogość i otucha, zlewając się na wszystkie serca i na wszystkie dusze pobożne. — Owo ta błogość i uspokojenie wielkie, wzięły pod skrzydła Boże i strapioną duszę Rzepowej: „Jezusie w Przenajświętszym Sakramencie utajony! Jezusie — wołała nieszczęśliwa kobieta — nie opuszczajże mnie niebogą!" I z oczu płynęły jej łzy, ale już nie te łzy, któremi płakała u wójta, ale dobre jakieś, choć duże jak kałakuckie perły — a słodkie przytem i spokojne. A w końcu już i nie wiedziała co się z nią stało. Zdawało się jej że anieli niebiescy podjęli ją z ziemi jako liść marny, aż do nieba, w wiekuistą szczęśliwość, gdzie nie było ani pana Zołzikiewicza, ani wójta, ani spisów wojskowych — tylko, jakby jedna zorza, a w onej zorzy tron Boski, koło tronu zasię światłość taka, że trzeba było oczy zmrużyć i całe chmury aniołków, niby ptaszków z białemi skrzydełkami.

Rzepowa leżała tak długo. Gdy się podniosła, już było po mszy; kościół opustoszał; dymy poszły pod sufit; ostatni ludzie wychodzili przeze drzwi, a na ołtarzu dziad gasił świece, więc Rzepowa się podniosła i poszła na parafię, rozmówić się z księdzem wikarym.

Ksiądz Czyżyk jadł właśnie obiad, ale wyszedł zaraz, jak mu tylko dali znać, że jakaś zapłakana kobieta chce się z nim widzieć. Byłto młody jeszcze ksiądz, z twarzą bladą, ale pogodną; czoło miał białe, wysokie i łagodny uśmiech na twarzy.

— A czego to chcecie, moja kobieto? — spytał cichym, ale dźwięcznym głosem.

Rzepowa podjęła go pod nogi i nuż mu opowiadać całą sprawę i popłakiwać przytem i całować go po ręku, aż wreszcie, podnosząc nań swoje czarne oczy, rzecze:

— Oj! porady dobrodzieju, porady! przyszłam od was szukać.

— I nie omyliliście się, moja kobieto — odpowiedział łagodnie ksiądz Czyżyk. Ale jedną tylko udzielić wam mogę radę. Oto Bóg doświadcza czasem wiernych swoich i doświadcza ich srodze, jak Hioba, któremu psy własne lizały rany bolące, lub jako Azar asza, na którego zesłał ślepotę. — Ale Bóg wie co robi — i wiernych swoich potrafi za to wynagrodzić. Nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę Bożą, za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci.

Rzepowa popatrzyła na księdza swemi czarnemi oczyma, podjęła go pod nogi i odeszła cicho, nie rzekłszy ani słowa.

Ale przez drogę czuła, jakby ją coś dusiło za gardło.

Chciała płakać i nie mogła.

VII.

Imogena.

Po południu około godziny piątej, na głównej drodze między chałupami, błyszczała w dali błękitna parasolka, żółty ryżowy kapelusik z błękitnemi wstążeczkami i migdałowa sukienka garnirowana także błękitno — to panna Jadwiga szła na przechadzkę w towarzystwie p. Wiktora. Była ładna, co się nazywa, włosy miała czarne, oczy niebieskie, płeć jak mleko, a przytem ubranie dziwnie starowne, schludne i wykwintne, że promienie biły od niego i dodawały jej jeszcze uroku. Jej śliczna dziewicza kibić rysowała się wdzięcznie, jakoby płynąc w powietrzu. Jedną ręką podtrzymywała panna Jadwiga parasolkę, a drugą zaś suknię, z pod której widać było brzeżek karbowany białej spodniczki i śliczne małe nóżki, obute w buciki węgierskie.

Pan Wiktor, który koło niej szedł, choć miał ogromną, kręconą, jasnej barwy czuprynę i broda tylko co mu się puszczała, wyglądał także jak malowanie.

Biło od tej pary zdrowiem, młodością, wesołością, szczęściem; a przytem znać było po obojgu owo życie wyższe, świąteczne; życie skrzydlatych polotów, nietylko w świat zewnętrzny, ale w świat myśli, szerszych pragnień—równie szerokich idei, a czasem w złote i promienne szlaki marzeń.

Wśród tych chałup, obok dzieci wiejskich, chłopów i całego prostackiego otoczenia, wyglądali oboje, jakby jakieś istoty z innej planety. Aż miło było pomyśleć, że nie istniał żaden związek między tą pyszną, rozwiniętą i poetyczną parą, a prozaicznym, pełnym szarej rzeczywistości światem wioski. Szli oto oboje obok siebie i rozmawiali o poezji, literaturze, jako zwyczajnie dworny kawaler i dworna panna. Ci ludzie w parcianej odzieży, ci chłopi i te baby niezrozumieliby nawet ich słów i języka. — Aż miło pomyśleć! przyznajcież mi to, acaństwo dobrodziejstwo!

W rozmowie tej pysznej pary nie było nic, czegoby się nie słyszało ze sto razy. Z książki na książkę przeskakiwali, jak motyl z kwiatu na kwiat. Ale nie wtedy taka rozmowa wydaje się czczą i pospolitą, kiedy się rozmawia z lubą duszy duszyczką, kiedy rozmowa jest tylko osnową, na której ona duszka złote kwiaty własnych uczuć i myśli dzierzga i kiedy od czasu do czasu rozchyla swe wnętrze, jakoby spłonione wnętrze białej róży. — A przytem, taka rozmowa wzlatuje, bądź co bądź, jak ptak do góry, w sfery błękitne, czepia się świata duchowego i pnie się w górę, jakoby wijąca się roślinka po tyczce. Tam w karczmie ludziska pili i w prostackich słowach o prostackich prawili rzeczach, a owa para płynęła w inną krainę i na okręcie, który miał, jak mówi piosnka Gounoda,

„Maszt z kości słoniowej,
„Flagą jedwab różowy,
„I szczerozłoty ster.

W tych warunkach najczęściej mówi się o poezji.

— Czytała pani ostatnie wydanie Elego?— pytał kawaler.

— Wie pan, panie Wiktorze — odrzekła panna Jadwiga — że ja przepadam za Elim. Gdy go czytam zdaje mi się, że słyszę jakąś muzykę i mimowolnie stosuję do siebie ów wiersz Ujejskiego:

„Leżę na obłoku,
„Roztopiona w ciszę,
„Łzę mam senną w oku,
„Oddechu nie słyszę.
„Fiołkowej woni
„Otacza mnie morze;
„Dłoń złożywszy w dłoni,
„Lecę... płynę...

(Dok. nast)

Wspomnienie z r. 1845.

Dziś, kiedy w obec groźnych powikłań prassa rossyjska, coś nam w kongresowem Królestwie przebąkuje o *zgodzie*, następnie zaś szalony warchoł z powodu zjazdu krakowskiego podnosi, nie od rzeczy zapewne będzie przypomnieć, jak to Rossja dotąd rządziła w polskim swoim zaborze. Dotykałem się tych rzeczy z bliska, patrzę na to dziś jeszcze, a i w kwestji „pojednania" zabierałem przed laty już głos w przychylniejszych organach tej prasy — pozwolicie przeto, że o tych rządach rossyjskich u nas, przez wasz organ przemówię, dotykając wyłącznie faktów.

Byłem młodzieńcem lat ośmnastu i aplikację do służby rządowej odbywałem w Dziśnie, mieście powiatowem nad Dźwiną. Daleko to i dawno... oj dawno! a jednak położenie kraju to samo, nacisk russyfikacji ten sam i ta sama dowolność rossyjskich władz. Strach o przyszłości pomyśleć i mrowie przechodzi, gdy człowiek zapragnie coś wywnioskować na przyszłość, już nie dla siebie, ale dla dzieci. Błyskają jakieś tam niby promyki nadziei, coś się warzy, wichrzy, gotuje... lecz jak się to wszystko rozwiąże? Rozwiązanie — to rzecz bardzo ciekawa, bo grube stawki stoją, a gracze mają karty zakryte.

Było to w r. 1845.

W Leonpolu, dużych dobrach hr. Łopacińskiego, dziś już skonfiskowanych podobno, toczyła się rozgłośna na owe czasy sprawa unitów. Tu i w paru miejscowościach na drugiej stronie Dźwiny (w powiecie Dryzińskim) włościanie silny przeciw „nawróceniu" stawiali opór, nie chodzili do cerkwi i nie chcieli znać nasłanego im popa prawosławnego—dla wspólnej zaś modlitwy mieli schadzki, każda wieś w jednej chacie, albo — jak było ciaśniej już we wsi — wychodzili do lasów.

Było zaledwie kilka już miejscowości takich, bo na całej przestrzeni kraju unityzm był stanowczo zwalczony karą cielesną, egzekucjami wojska, więzieniem i zesłaniem więcej opornych włościan i księży na Sybir. W ostatnich gniazdach oporu włościanie krzepko się jeszcze trzymali, władze miejscowe wysilały się na przymusowe środki... lecz bezskutecznie. Szukano naturalnie winnych po za wsią, jak to i w Podlaskiem było w ostatnich czasach—więc szukano po dworach, bo ludziom bez wiary trudno było zgodzić się na to, że chłop ma wiarę i sam się broni przed nastawaniem na swe sumienie. „Dwory wpływają" — „szlachty to tylko robota", tak urzędnicy rossyjscy głosili, takie szły przedstawienia do Petersburga, więc ludzi plątano wielu i plątano głównie zamożnych. Popy i urzędnicy ciągnęli ztąd zyski, obwinieni bowiem musieli ratować się rublami.

W Leonpolu padło takie obwinienie na dzierżawcę Franciszka Korzeniowskiego, który podpisał był przed tem zobowiązanie, że pomagać będzie miejscowemu popowi i wpływać na lud za „nawróceniem"; potem jednak Korzeniowski miał działać przeciwnie, opór więc przypisywano jemu. Wyczytał on podobno w ówczesnych pismach emigracyjnych coś przeciw sobie z tytułu podpisanego zobowiązania — zajął więc rzeczywiście w całej tej sprawie pozycję zupełnie bierną. Uznano go winnym... został aresztowany i osadzony w więzieniu w Wilnie.

Było to w zimie. Pewnego dnia rano odebrałem z zajazdu kartkę od pani Cybulskiej, siostry Korzeniowskiego, która prosiła mię, żebym przyszedł do niej na chwilę, miała bowiem do mnie bardzo pilny interes i nie cierpiący ani na kwadrans zwłoki. Zdziwiło mię, co p. Cybulskę tak rano sprowadziło do miasta, mieszkała bowiem o dwie mile w swoim majątku.

Poszedłem. Zastałem ją zapłakaną.

— Co to pani? Co się tu stało?

— Ależ, panie — ci łotry wiozą z Wilna brata mego w kajdanach i w lekkim płaszczu (aresztowany był w lecie), a taki mróz... on biedak zmarznie.

Mróz tego dnia dochodził trzydziestu stopni i na otwartem powietrzu aż zapierało oddech. Do Wilna traktem pocztowym około czterdziestu mil, nic przeto dziwnego, że biedna kobieta była w rozpaczy o brata.

— Cóż ja mam zrobić?

— Pan masz łaski u sprawnika (naczelnik powiatu) — poproś, żeby pozwolił mnie widzieć się z bratem... choć na ulicy w przejeździe, aby uściskać go i dać mu futro na drogę do Leonpola. Marszałek (Antoni Obrompalski) nie życzy podjąć się tego... zwyczajnie tchórz,

Trudno mi było poręczyć za skutek. Poszedłem jednak do sprawnika, którym był wtedy Michał Subbotkin, służbista i Rossjanin twardy, ale widział wiele złego w „nawracaniu" unitów i był litościwym człowiekiem. Żonę miał Polkę, dobrą kobietę, przez nią więc miałem na niego wpływ.

Przełożyłem sprawnikowi moje poselstwo.

— Niech p. Cybulska próbuje... ja w tym razie nic dla niej zrobić nie mogę, bo Korzeniowski jest pod władzą żandarmów. Wiezie go major Tyzenhauzen, który zarazem jest przeznaczony do tego śledztwa... sprawa to ważna. Przypuszczam, że się zatrzyma w Dziśnie tylko dla zmiany koni, bo dziś cała komisja przyjeżdża z Wilna. Jutro pan ze mną także do Leonpola pojedziesz, bo komisja sekretarza nie będzie miała.

— Któż to — zapytałem — ma tę komisję składać?

— A oto, masz pan reskrypt Gubernatora... przeczytaj.

Na wstępie do tego reskryptu stało: „wieśma sekretnoje" (bardzo sekretne), a treścią główną była instrukcja dla sprawnika, jakich ma użyć środków, dla zebrania przeciw Korzeniowskiemu dowodów.

Nie wesoło mi się zrobiło po przeczytaniu, według zapowiedzenia bowiem, w charakterze sekretarza komisji miałem być asystentem czynności szpiegowskich. Musiał sprawnik dopatrzeć jakąś zmianę na mojej twarzy, bo mi powiedział:

— Nie bojtieś (nie bój się)... nic się tam nie wykryje ani jawnie, ani podstępnie .. za pieniądze nawet. Włościanie milczą jak ściana. Ja tam byłem kilka razy, była nahajka (bizun kozacki) i pałki w robocie, tego i tego próbowano już dla odmiany... jedna odpowiedź: „nikt nie winien i nie podmawiał, ale my nie pójdziem do prawosławnej cerkwi."

Do składu komisji był przeznaczony z Wilna pułkownik Jukawski i major żandarmów Tyzenhauzen, a z Dzisny sprawnik Subbotkin, strapczy (podprokurator) Hutorowicz—polak i marszałek szlachty Antoni Obrompalski. Rząd rossyjski już wtedy okrywał się pozorami jakiejś dziwnej względem obwinionych „sprawiedliwości", chociaż cała kwestja „nawrócenia" unitów wołała o pomstę do ludzi i Boga—ztąd asystencja marszałka przy prowadzeniu śledztwa. Obrompalski był w gruncie dobrym człowiekiem, ale słaby i nawskróś tchórzem podszyty, jego przeto obecność nie mogła w niczem na ograniczenie arbitralności komisji wpływać. Pisała co chciała, on zaś podpisywał protokoły takie lub inne, a często ich nawet nie czytał.

Dobra leonpolskie były dotąd pod zarządem administracji, obsadzonej przez Korzeniowskiego, a składającej się z oddanych mu ludzi. Reskrypt gubernatora nakazywał odjąć im rządy i na administratora przeznaczył pułkownika Tryznę, który razem z komisją miał z Wilna przyjechać.

— Gdzie stanęła p. Cybulska? — zapytał sprawnik.

— W zajeździe nad rzeką.

— A no, tamtędy będzie Korzeniowski wieziony. Niech wyjdzie i prosi majora Tyzenhauzena... on pozwoli dać bratu futro na drogę.

W parę godzin potem, kiedy byłem jeszcze u p. Cybulskiej, wpadł do pokoju żydek posługacz, z oznajmieniem, że na trakcie od strony Wilna słychać pocztowy dzwonek... „wiozą". To „wiozą" rozbiegło się po całem mieście i ze wszystkich domów do siennych drzwi i na ulicę zaczął wylegać lud.

Futro było przygotowane i w oddzielnem zawinięciu bielizna. Stanąłem w oknie. Dzwonek rozlegał się już na rzece Dzisience, po której lodach pędziły sanie w trzy konie i w nich na ławce siedziało dwóch żandarmów obok furmana, a na siedzeniu Korzeniowski w lekkim płaszczyku z peleryną zarzuconą na głowę i z nim major Tyzenhauzen, w futrze szopowem, z podniesionym na uszy kołnierzem, z roztworu którego tkwiły, jakby dwa różny wąsy zmarznięte. Sanie obrzucone śniegiem i sierść zeszroniała na koniach.

P. Cybulska była w kapturku, zarzuciła na ramiona okrycie i wybiegła przed dom, pędząc do zbliżających się sani, a za nią lokaj z futrem dla brata i z zawinięciem z bielizną. Na widok biegnącej i wołającej o przystanięcie kobiety, Tyzenhauzen zrobił poruszenie ręką do obróconego twarzą ku niemu żandarma, Korzeniowski zrzucił pelerynę z głowy... sanki stanęły.

— Szto wam ugodno (co pani życzysz)?... — zapytał przechylony z sanek do p. Cybulskiej major.

— Chcę bratu dać na drogę futro, bieliznę, niech pan major raczy pozwolić.

— Procz (procz)!... była odpowiedź p. majora.

Żandarm z furmańskiej ławki pchnął p. Cybulskę nogą. Pokłoniła się i padła w zaspę śniegową i żydzi poskoczyli, żeby ją podnieść .. sanie pomknęły dalej.

Wieczorem tego samego dnia przyjechał do Dzisny pułkownik Jukawski, z nim Tryzna, a rano nazajutrz cała komisja w komplecie była już w drodze do Leonpola. Za pozwoleniem sprawnika, w obec przewidywanej podróży z powrotem do cytadeli w Wilnie, ja dla Korzeniowskiego zabrałem bieliznę i futro.

— Da! ta Dzisna wasza — mówił po naszym przyjeździe Tyzenhauzen — to jakieś *miatieżne* miasto! Wiozą politycznego przestępcę, więc wszyscy, żydzi nawet wybiegają na ulicę, tumult jakiś, a tu znów baba płacząca zabiera drogę... nie umie p. horodniczy utrzymać w mieście porządku. Ja to gubernatorowi opowiem.

I powiedział zapewne... nie długo potem horodniczy (naczelnik miasta) został zniesiony.

Równo z chwilą zjazdu komisji do Leonpola, rządy majątku objął pułkownik Tryzna, pozabierał od służby klucze, zadysponował śniadanie, obiad, zajrzał do spiżarni i do piwnicy... wszędzie piękne zapasy, komisję zatem suto mógł podejmować. Naturalnie — wino, wódka starka, łakocie — to zaraz na stół. Od tego rozpoczynaliśmy czynność, a że wileńscy goście byli drogą strudzeni, więc polecenia tylko na dzień jutrzejszy służbie policyjnej oddano, do dwunastej zaś w nocy ten pierwszy dzień zeszedł na kartach i pociąganiu smacznego winka. Jukawski i Tryzna byli hołdownikami Bachusa, raczyli się więc do sytości.

Cóż się z Korzeniowskim stało?

Dla niego w dworskich pokojach miejsca nie było, a major Tyzenhauzen uznał, że nawet w oficynach, jako dla aresztanta, będzie mu za wygodnie. Nim komisja zjechała, upatrzył już dla niego miejsce „najodpowiedniejsze"... i pomieścił w izbie przeznaczonej dla drobiu, z której kury i kaczki przeniesiono gdzieindziej. Tu mu zrobiono posłanie na słomie, przykryto ją derą, przyniesiono z dworu poduszkę, dla okrycia się zaś z wierzchu miał płaszcz. Żandarmi zmieniali się przy nim co parę godzin, wstęp wszelki dla służby, czeladzi, włościan, ostro był zakazany. Do dworu przyprowadzono go raz tylko w ciągu śledztwa do protokołu i pozwolono ostatniego dnia tam przenocować, kiedy już śledztwo było ukończone zupełnie.

Wysilał się pop miejscowy na dowody „kompromitujące" przeciw Korzeniowskiemu, cóż ztąd, kiedy zeznania włościan i dworskich ludzi przeczyły stanowczo, żeby miał jakibądź udział, celem odwodzenia unitów od „nawrócenia". Próbowano środków „zniewalających" dla „wydobycia *prawdy*", więc pułkownik Jukawski policzki przy badaniach protokolarnych wymierzał, robił próby na zalęknionych i poddawał ich chłoście... nic i nic: „nie wiedajem, panoczku" — a dalej chłostany już tylko jęczał.

Tydzień cały te śledcze operacje trwały: zapisano wiele papieru, dużo na opornych zbito pałek, sporo wypróżniono butelek wina... ale winnego co do wpływu na włościan nie wykryto i nie „nawrócono" do wiary prawosławnej nikogo.

Pułkownik Tryzna, popijając winko zapewniał, że nigdzie jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć ludzi takich „upartych", żeby dla „jakiegoś tam unickiego wymysłu, nadstawiać skórę dla skatowania."

— Co oni myślą! co oni myślą! — wołał chwytając się za głowę. Car chce, car każe... a oni nie i nie... *nie ponimaju!*

Trzecia ta, czy nawet czwarta komisja „chrztu" na włościanach w Leonpolu nic wymęczyć nie mogła. Odjechaliśmy z niczem. Goście wileńscy i Korzeniowski pod strażą, ale już w szopach, odjechali do Wilna z powrotem, do więzienia zaś w Dziśnie przybyło kilku najzatwardzialszych włościan, okutych naturalnie w kajdany i skatowanych przy śledztwie.

Pułkownik Tryzna pozostał, jako administrator, opróżniając w dalszym ciągu piwnicę i zabierając dochody z majątku. Gospodarował w Leonpolu przeszło dwa lata i naturalnie, wszystkie z tego czasu dochody utonęły w jego kieszeni. Rachunku nie zdawał nikomu i dobra odebrano w okropnem spustoszeniu.

Kwestja „nawrócenia" włościan w dalszym ciągu nie przestawała zaprzątać władz. Urzędnicy zjeżdżali jeden po drugim, próbowali łagodnych przemówień, to znowu odwoływano się do pałek, nie miało to jednak żadnego wpływu. W tym czasie najwięcej z surowości i zwierzęcego zdziczenia był znany w powiecie Dziśnieńskim dymisjonowany sztabs-rotmistrz Jackowski, Polak i katolik, niestety! Szukał orderów, zasługi, więc nie przebierał w środkach, a był asesorem (prystaw) w Drui. Ten tyko w pałki wierzył, obwinionego zatem, nim przystąpił do protokolarnego badania, kazał zwykle wyprowadzać do stajni, gdzie miał ustawiony tapczan, ściągał obówie, pokładał swoją ofiarę na tapczanie i przywiązywał, dwóch zaś oprawców zwolna, miarowo, ale od ucha bili pałkami w pięty, gdy on na boku stał, paląc cygaro i dopytując się „prawdy".

— To najpewniejszy środek — mawiał p. Jackowski — jeżeli wytrzyma dwadzieścia i nic nie powie, to już z pewnością nie winien i takiego nawet w kozie nie ma co trzymać. A winny... taki, panie! niech słówko jedno po kilku razach piśnie podobne do prawdy, to już walaj aż do skutku, a tylko zwolna... wszystko wyśpiewa.

Otóż raz tenże Jackowski do Leonpola był przeznaczony i pragnął tam wprowadzić w użycie praktykę swego tapczana. Kilku skatował włościan, ale gromada w końcu rzuciła się na niego i jego oprawców. Ratował się ucieczką, nie długo wszakże potem zjechała raz jeszcze a już ostatnia komisja, która „nawrócenie" zdecydowała. Należał do niej arcybiskup prawosławny, znany Siemaszko, gubernator Żerebcow i wiele innych figur podrzędnych. Z Dynaburga sprowadzono wojsko i gdy włościanie na obszernym dziedzińcu dworskim byli zebrani, wojsko obeszło ich ze wszystkich stron i pierścieniem ścisnęło. Przemówił Siemaszko, potem gubernator, włościanie stali z odkrytemi głowami, kłaniali się, ale żaden na te przemowy nie odpowiedział gotowością do „nawrócenia". Odwołano się znowu do pałek: wyrywano na upatrzonego z gromady, tłum szemrać począł, starsi zaś wystąpili naprzód i powiedzieli, że wiarę prawosławną przyjmują.

Siemaszko błogosławił w cerkwi nowo nawróconych, gdy skatowani na wozach byli wywożeni na kurację do szpitala w Dziśnie.

Tak się odbyło ostatnie „nawrócenie" unitów w Leonpolu. Są jeszcze ludzie starzy w tych dobrach, którzy pamiętają to i przenosili straszną tu chłostę.

Ant. Mroczek.

HAMLET W LONDYNIE.*)

I znowu nadchodzą piękne dni dla sztuki w Anglji. Hamlet powraca, panowanie dramatu wstępuje na scenę, a z nim idee ukryte w słowach i grze, tajemniczo wstrząsają umysłami, przygotowują epokę wielkich i wspaniałych czynów. Tak utrzymują ludzie, szukający w sztuce kapłaństwa, w teatrze prawdy i moralności.

W najświetniejszej epoce starożytności w danym okresie, genjusze myśli i czynu łączą się z sobą, tworząc dziejową całość upajającą olbrzymią potęgą. Aeshyles walczy na polach Maratonu, pod Artemizją, Salaminą, Plateą. Sofokles 15-letni młodzieniac, towarzyszy bitwie salamińskiej, Eurypides przychodzi na świat w dzień zwycięztwa Temistoklesa i okrzyku chwały Grecji z zatoki morskiej.

W nowszych czasach genjusze słowa, jako pochodnie co nigdy nie gasną, przyświecają nadchodzącym burzom. Szekspir wyprzedził wielką rewolucję angielską, Beaumarchais i Moliere krwawe dzieje Francji. Ofenbachowska epoka nie jest zdolna tworzyć bohaterów.

Hamlet się zjawia, Henryk Irwing ma odwagę wystąpić i ukazać go nam stęsknionym wielkich wstrząśnień, nieustannych wzruszeń i znęcań się nad własnem sercem, aż do ulżenia sobie boleści, łzami współczucia. Któż to jest ten co się ośmiela po Garriku, Keanie, Kemblu dźwigać na swych barkach najtrudniejszą do odtworzenia w dziejach sztuki postać?

Blada twarz, zaciśnięte usta, wielkie, smutne oczy, myślące czoło, proporcjonalnie wysoka postać, wątła budowa, głos przydechowy podobny do głosu Królikowskiego, również słaby, a jednak przenikający na wskróś, co wpija się do serca, odbijając niestarte wrażenie na umyśle, czynią z Henryka Irwinga na pierwszy rzut oka nader sympatyczną i pociągającą ku sobie postać. Artysta ten naprzód wyrabiał siły swoje w Karolu I. upajając słuchaczy widokiem cichego, domowego pożycia, rozbitego serca, po odkryciu zdrady przyjaciela i wreszcie przerażającą agonją ostatniego pożegnania. Później widzimy go występującego w postaci Eugenjusza Aram, nauczyciela z Linzu, zapierającego oddech w piersiach widzów, roztaczającego przed niemi przerażenie szlachetnego człowieka.

Wielbiciele Irwinga utrzymują, że te dwie postacie oddane z taką siłą prawdy, zdolne są wytworzyć aktora dla idealnego Hamleta, jednocześnie marzyciela, księcia, wykształconego człowieka, filozofa i wielkiego pana.

Göthe w swoim traktacie o Hamlecie przedstawia nam młodzieńca kochającego sztukę, ojca i najczystszą z dziewic, a opisując pasmo nieszczęść tej młodej duszy, uwidocznia, jak charakter ten nie mógł pojąć z wysokości tronu, piękna natury i szczęścia ludzkiego. Taine więcej obrazowym niż namiętnym stylem porównywa duchowy stan Hamleta, do drzwi wiszących na obluźnionych zawiasach, które popychane przez wiatr kołyszą się gwałtownie, a uderzając z szalonym pędem w jedną lub drugą stronę, wydają przeraźliwy skrzyp.

Stan duszy Hamleta rozbierając patologicznie można śmiało nazwać, godząc się w tym względzie ze zdecydowaną opinją: historją moralnego zatrucia.

Z bijącem sercem wchodzę do teatru, krzesło moje między młodzietą bladą z dużemi oczami zamyśloną mis, a poważnym, łagodnych rysów dżentlemanem.

Podnosi się zasłona. Ciemna noc, wały fortecy i światło księżyca. Na wałach straż, później Kuracjusz i duch ukazując się przechodzi i znika, publiczność milcząca, poważna, czeka niecierpliwie na Hamleta.

Nadchodzi, szmer przeszedł po sali, jak lekki powiew wiatru i zastygł na ustach. Hamlet rzuca się niedbale na krzesło postawione obok tronu. Nie widać na nim, ani grobowego aksamitu, ani duńskiego orderu słonia, ani błąd peruki, w której się Niemcy kochają. Ciemny jedwab obwisły na nogach, suknia z grubej czarnej materji, na niej krótka delja obszyta futrem, biały kołnierzyk szeroko wyłożony, u rąk koronkowe

*) Grywany w Liceum teatrze przez Henryka Irwinga w roli Hamleta i pannę Betman w roli Ofelji.

żaboty, a całą ozdodą złoty łańcuch na szyi. Nic coby zwracało na siebie uwagę, przyciągało zwrok. Blada sympatyczna twarz, pomięte w grube karby czarne włosy i wielkie oczy jego, z których wygląda jakieś dziwne przerażenie, sympatyczny ból, ciężka praca w wydobywaniu przelatujących myśli — oto wszystko.

Hamlet w obec ducha, synowska miłość i prośba: „King father: Royal Danc o answer me“, wyciska łzy. Duch go prowadzi daleko, daleko; wśród wielkich skał, ciemnych drzew, i tam powierza mu straszną tajemnicę.

Obok mnie siędząca dzieweczka przestraszona, wpatrzyła oczy w ducha i w Hamleta, ze strachu radaby uciec, gdyby nie ciekawość. Hamlet ukląkł słuchając skarg ojca. Zdyszani towarzysze biegną za nim i znajdują swego księcia siedzącego na kłodzie drzewa, smutnego, zatopionego w myślach. Wezwanie do przysięgi jest raczej prośbą w imię przyjaźni, łagodną, cichą, prożbą pana, któryby mógł rozkazać, woli jednak prosić. Głos ducha z pod ziemi (swear) karci Hamlet łagodnie z miłością, w której przebija współczucie. (Rest, rest, perturbend spirit).

Hamleci niemieccy skaczą ze szpadą w ręku, ciskając się na ducha, pełni egzaltacji i patosu. Tutaj przemawia syn, który przed chwilą rozmawiał z duchem swego drogiego ojca.

Kortyna spada. Korzystając z przestanku, wychodzimy. Między widzami czuć jakby pewne niezadowolenie. Zbliżam się do grupy głośno rozmawiającej, przypuszczam dziennikarzy. Jedni utrzymują, że Irwing nie jest aktorem do dzieł Szekspira, drudzy że nie ma jasnych włosów, że jest słabym, niewyraźnym, a przedewszystkiem, że nie korzysta z pomyślnych pozycji dla siebie, jakby umyślnie zaniedbywał grę.

W Londynie i w całej Anglji utrzymuje się żywa tradycja gry wielkich artystów w tej roli. Twarz Betersona była blada jak chusta, gdy ducha spostrzegł; Garrik wstrząsał całym teatrem śledząc za duchem, gdy tymczasem dzisiejszego Hamleta zaledwie dosłyszeć można.

— Oni nie rozumieją Irwinga — szepnął mi mój towarzysz — chcą widzieć w nim aktora i śledzą grę, gdy tymczasem on nie gra, bo jest w stanie być prawdziwym Hamletem.

— Zupełnie podzielam zdanie pańskie — odrzekłem — jednak czyby się nie przydało troszkę więcej siły.

— Nie widzę potrzeby — odpowiada poważny dżentleman.

— Znasz pan zdanie Wiliama Hazlit o Hamlecie? — spytał mnie po chwili.

— Słucham — odrzekłem.

— Wielki krytyk nie życzył sobie, aby Hamlet był odgrywany na scenie; dowodząc, że nie ma sztuki, którąby tyle traciła przeniesiona na deski teatru. Widział on Keana i Kembla w tej roli i żaden z nich nie zdołał go zadowolnić, gdyż głęboki ten obserwator, pragnął zobaczyć artystę, któryby umiał myśleć głośno. Chciałby aby w tym charakterze czuć było wszędzie i na każdym kroku dżentlemana i wykształconego człowieka, a jak najmniej aktora. I gdyby Hazlit zobaczył dziś Irwinga, musiałby się z nim pogodzić, a zatem i pozwolić Hamletowi żyć na scenie.

— Prawda — odrzekłem — niepodobna jeszcze zdać sobie sprawy z gry, jednakże uczuwam pewien demoniczny wpływ oczarowania.

Głos dzwonka przerywa rozmowę. Powracamy na swoje miejsca.

Widocznie artysta ten każe nam odczuwać myśl Hamleta; mimowoli nie zwracamy uwagi jak on chodzi, w jakiej pozie staje, czy artystycznie miecz z pochwy wyciąga; nie mamy ani czasu, ani możności zajmować się temi drobnostkami; artysta zabrania nam tych małych obserwacji pochłaniając całą naszą uwagę, zmusza do śledzenia za pracą swego mózgu! Zresztą on sam gardzi formą, depcze ją jak wielki pan i artysta nie zważający na konwenanse, gdyż jest pewny, że każdy krok postawiony przez niego, nie może być niewłaściwym i powinien być uważany za dobry i naturalny. Pewność siebie, płynąca z pozycji, urodzenia i własnej godności, oraz poczucie smaku artystycznego, który się wcielił w całą postać, wszędzie podbija formę, robiąc ją swoją niewolnicą.

Temu to targaniu form, zawdzięcza artysta że nie widzimy w nim aktora, tylko człowieka panującego nad sytuacją, pięknością prostoty. Przyjąwszy taki kierunek, musiał się on wyrzec wszelkich korzyści wyzyskiwania pomyślnych efektów i korzystania z szczęśliwych momentów w sztuce.

Artysta odrzucił wszystkie fajerwerkowe upiększenia i stanął sam wobec widzów w głębokością myśli swej i swą własną świadomością. Mimo to gra jego jest subtelna i nadzwyczaj staranna w wykonaniu. Źlem się wyraził, on nie gra i zdaje się nawet ukrywać swoją sztukę, mówi z samym sobą, czyli myśli głośno: to dosyć, to wszystko!

Nie było dotychczas aktora, któryby nie skorzystał z ustępu: „Oh what a rouge and peasand slave am“. (Jakimże nędznym jestem niewolnikiem!“ Irwing i to miejsce pomija. Źlem się wyraził, on je wykończa naturalnością i prawdą uczucia. Na jedną tylko chwilę upada, zapominając się jak pospolity człowiek, lecz aby się pogrążyć w większą jeszcze desperację, w większe jeszcze zamyślenie, które tak dobitnie maluje moralne zatrucie.

W monologach swych, nie ma artysta utkwionego wzroku w jeden punkt, lub w lampy przed sceną, rozmawia on z samym sobą, mówi do siebie a patrzy często w zwierciadło duszy swej, w twarz Horacja, zresztą wszędzie jak człowiek, którego zwyciężyła jedna idea, paląc mu mózg, szarpiąc serce, którym jeden zamiar owładnął i zamiast gwałtownego czynu, pobudza myśl jego do tak ciężkiej i nieustannej pracy, wytwarzającej moralne zatrucie, z którego wieje na słuchaczy coraz silniejszy czar.

Młodziutka miss wpatrzona z na wpół otwartemi ustami pożerała wzrokiem Hamleta, a widać było w odbiciu na jej twarzy, jak każdy jego wyraz przez uszko przechodził do serca, a z serca wyglądał łzą w oku.

— Pani lubisz Hamleta?

— Very much*) (bardzo) taki nieszczęśliwy, tak okropnie cierpi, wszyscy go odstąpili, wszyscy przeciwko niemu, a on, on ich jeszcze kocha i życie by za nich oddał, byleby go zostawili w spokoju!

Dziecko zakochało się w Hamlecie, będzie śnić o nim w nocy, w dzień marzyć i szukać nieszczęśliwego, któregoby można zamienić na wyidealizowanego bohatera.

Wchodzi Ofelja**) biała z niebieskiem sukienka, torebka u boku i gdyby nie złoty djadem w czarnych włosach, możnaby się omylić, sądząc że Margieryta przestąpiła gościnny próg królów Danji.

W Krakowie pani Helena (Modrzejewska) grała Ofelją. Trudna to rola, wymagająca przedewszystkiem zrozumienia ducha całej tragedji i przeczucia charakteru Hamleta. Ofelja kocha do szaleństwa szlachetnego młodzieńca i spiskuje ze swym ojcem, aby tylko rozwiązać zagadkę, gdyż na jej dnie widzi dla siebie nadzieję. Nieśmiała, zakochana w przyszłym królu, który już dziś jest absolutnym panem jej serca, patrzy z przerażeniem, trwogą i boleścią na rozgrywający się dramat, który i ją porwał w swe zaczarowane kręgi, ciągnąc szalonym pędem aż na dno rzeki.

Nie wiem czy pani Helena podczas pierwszego wystąpienia analitycznie rozbierała ducha tej tragedji, jak gdyby to pewno dziś starała się zrobić, rad jestem nawet przypuszczać, że tego nie uczyniła, a jednak wielki jej talent podsłuchał przejawy uczuć serc ciężkiego żalu, niepewności i nadziei idealnej dzieweczki, której los kazał pokochać człowieka, nie mogącego udźwignąć roli narzuconej mu przez urodzenie i wypadki.

Poczucie piękna potrafiło utrzymać panią Helenę w zwężonych granicach między patetycznością i wybuchem namiętności, którą tłumić, nakazywała Ofelji jej pozycja, godność własna i obawa utraty tego, co już posiada, a miłość do sztuki wynagrodziła artystkę naturalnością prostoty i rzewną nieśmiałością, nie pozwalając jej nawet zbliżyć się do krawędzi sentymentalizmu. Dodajmy do tego profil grecki, oczy zamglone, nie wiem, lecz zdaje się więcej zasłonięte przez łzy świecące jak gwiazdy... Całą postać kształtną i wiotką, bladą twarz, kwiaty na głowie, spiew melodyjny i cichy i na zakończenie suchy śmiech rozdzierający serca.

Taką była Ofelja pani Heleny w Krakowie, lecz nie taką panny Betman w Londynie. Piękna i sympatyczna, wysoko wykształcona aktorka, być może że zanadto studjowała swoją rolę, starając się zbyt silnie uwydatnić zamiary i myśli autora. Często objawy drobiazgowej tendencji w sztuce, zabijają ją. Panna Betman starała się dowieść i pokazać, że rozumie Szekspira i uwydatniając owo zrozumienie, odznaczyła zbyt silnemi konturami ten dopiero w rozwiciu, a zatem tylko w najdelikatniejszych odcieniach i przejściach, dający się odwzorować charakter.

Słychać odgłos kroków Hamleta. Ofelja wzdycha, łzy ociera, oczy do nieba podnosi... To be, or not to be, that is the question, napełnia teatr. Hamlet wymawia te wyrazy idąc. Cały monolog powiedziany jest swobodnie, jak człowieka, który się przyzwyczaił głośno zwierzać przed samym sobą z myśli rozsadzających mu czaszkę. Musi je wyrzucić z siebie. On nie filozofuje na zimno, jak niemiecki student zatopiony w abstrakcjach.

„Good my lord“ odzywa się ledwo dosłyszanym głosem Ofelja. Hamlet ją kocha, oczy jego to mówią i ręce drżą, gdy je wyciąga, własny głos go zdradza. Tak, on kocha tę dziewczkę i pomyślcie coby się stało, gdyby mu wolno było ją kochać, gdyby się spełniło jego zadanie, gdyby się urzeczywistniła ambicja. Im więcej wpatruje się w Ofelją, tem więcej przeklina ironję losu. Obarczony nad siły, przygnębiony, otoczony szpiegami, Ofelja wciągnięta w ich plany, pomaga im... I nareszcie robią go szalonym, gdy on tylko udawał pomięszanie. Położenie nie do wytrzymania, dla zmęczonej duszy.

Więc wszyscy, wszyscy przeciwko niemu,

*) Wymawia się wery macz.

**) Ofelja — Anglicy wymawiają Ofilja.

nawet ta, której oddał miłość swą i marzenia i chciał przyciągnąć do siebie, na wysokość swego majestatu? Więc już nikogo nie ma i tylko on jeden przyszedł na świat, aby tyle złego naprawić! Nareszcie widzimy go u szczytu moralnego rozdrażnienia. Myśli jego wtedy popychane wiatrem rozbudzonych namiętności, jako drzwi na rozluźnionych zawiasach pędzą w jedną i drugą stronę skrzypiąc przeraźliwie...

Bezgraniczna miłość i czułość człowieka starającego się być tkliwym i przyjemnym dla kobiety którą kocha, a jednocześnie oburzenie i nienawiść dla tych, co go szpiegują, były oddane z tak wielką sztuką, że aż stały się prawdziwe i naturalne! Żadnych efektów i wyzyskiwań sytuacji, oprócz prawdy i naturalności.

Kamble, powiadają, na zakończenie tej strasznej sceny prowadził Ofelję naprzód sceny, całując z namiętnością jej rękę. Irwing wyrzeka się i tego sympatycznego efektu. Ofelja, której nadzieję zabijają, druzgocą serce, nie morze siedzieć spokojnie, rozstaje się z kochankiem, a książę i przyszły król powraca. Ofelja stoi, stojąc słania się, chwieje, pochyla, rozpacza i płacze, płacze naprawdę, jak płaczą Angielki w lożach i młode dziecko po lewej mej stronie.

Płakano i dawniej. Miss Fanny Kemble pisze w swych pamiętnikach:

„Trzy razy grałam Ofelją z mym ojcem i ile razy jego miłość i warjactwo zlewają się razem, jak strumień wezbrany wiatrem, niosący na swej mętnej wodzie tysiące kwiatów, uczuwałam zawsze takie wzruszenie, że zaledwo mówić mogłam, to też listy i pudełko z klejnotami, które mu podaję, były zawsze zmoczone łzami“.

Henryk Irwing dla pięknej panny Betman nie jest ojcem. Młody dystyngowany człowiek, z zamożnej rodziny z Yorkchire, ukończywszy uniwersytet w Oxfordzie, porzucił karjerę dygnitarstwa i poszedł na inną arenę, którą nazywają deskami teatru, kształcić umysły, targając serca. I to jest tajemnica, dlaczego ten człowiek jest więcej dżentlemanem, niż aktorem.

Chcecie mieć znakomitych artystów, musicie się naprzód postarać aby mieć dobrze wychowanych i szlachetnych ludzi. Otwórzcie im wasze domy i serca, a reszta się znajdzie. Szanujcie ich jak ich Hamlet szanuje; nie widać w nim żadnej afektacji książęcej w rozmowie z nimi, nie wykłada im lekcji, przeciwnie, rozmawia tylko, jako artysta z artystą. Pewna popularność serdeczna przebija się w jego mowie i ruchach. Stoi przed pierwszym aktorem z pół uśmiechem, z pół szacunkiem, jakby chciał powiedzieć: ja nie dyktuję, lecz tylko objawiam swoją opinję o sztuce, przytem zachowana była książęca godność i ujmująco dobrotliwa grzeczność, połączona z wysoką subtelnością wykształcenia, która musiała tak podbić aktorów, jak zwyciężyła publiczność; jeżeli jeszcze dodamy szlachetne uczucie przyjaźni dla Horacja, które było również pięknem jak jego głęboka miłość do Ofelji.

Zbliża się nareszcie chwila rozwiązania tajemnicy; odkrycia prawdy. Słychać w oddali muzykę; wchodzi król z królową, kanclerz państwa, damy, rycerze, wojsko z zatkniętemi na dzidach pochodniami, nareszcie wchodzi Ofelja w tym samym stroju z wachlarzem w ręku z czarnych piór, siada a pod jej stopami białe futro. Hamlet nie kładzie się u jej stóp w artystycznej pozie, nie rzuca się na nie, siada swobodnie, odbiera czarny wachlarz z rąk Ofelji, bawi się nim, rozmawia, czeka. Dano znak, odchyla się zasłona, podwójna gra rozpoczęta. Hemlet z po za czarnego wachlarza śledzi przeciwnika, kusi go, nęci, wyciąga pognębione jego sumienie... Prawda, straszna prawda wychyla się z po za niepewności, zbrodnia ujawniona, król przestraszony. Przestrach udziela się otoczeniu, tłum znika, sala raptownie, niespodzianie staje się pustą, zostaje tylko Hamlet i król, walka trwa dalej, okropna walka moralna między dwoma ludźmi, król ucieka! Hamlet ze spazmatycznym wybuchem płaczu i śmiechu, rzuca się w tryumfie na opróżniony tron, pełen boleści i zgrozy. Prawda go ogłuszyła, nareszcie stracił wszelką nadzieję i z jej utratą pozwolił przeminąć najstosowniejszej chwili wymiaru sprawiedliwości i zajęcia przynależnego sobie stanowiska, opuszczonego przez mordercę i uzurpatora.

Niepodobna opisać wrażenia tej sceny, cisza w teatrze, z lóż wychylone oparte o balustradę Angielki, rękami podpierają zmęczone główki. Umieją one słuchać Szekspira, uroczystość milczenia, to największy tryumf dla artysty.

Stało się, Hamlet zwyciężył, już więcej nie wątpi, twarz jego wypogodziła się, oznaki moralnego zatrucia znikły, ciężki kamień spadł z jego serca i nie opuszczając tronu z całą swobodą ironji i jadowitego sarkazmu, przyjmuje Rozenkrantza i Guildensterna maltretując ich z oburzoną pogardą wielkiego pana i wyższego o całą moralność i potęgę poczucia swej wartości człowieka.

Spełnienie czynu postanowione. Z dobytym mieczem, z pochodnią w ręku, blady, z zaciśniętemi ustami, spokojny jak fatum, surowy jak sędzia staje Hamlet (Irwing) w sypialni uzurpatora.

Morderca rozmawia z Bogiem. Modlitwa wywiera stanowczy wpływ na młodego mistyka, któremu religijne wychowanie i głęboko zakorzenione uczucie wiary, ubezwładniają rękę. Nie jest w stanie zabijać modlących się.

Aby stłumić głos budzących się uczuć wiary, rozmarzony filozof wynajduje frazes, potęgujący swą zemstę, i nim na pozór pocieszony, cofa się przed popełnieniem morderstwa, aby je dokonać w szale najwyższego rozdrażnienia na niewinnym starcu.

Szekspir ani przypuszczał, party siłą swego wielkiego genjuszu, jak w tem miejscu jest potężnym i głębokim.

Rozmowa syna z matką, po gwałtownem zabójstwie starego Poloniusza, miękka, tkliwa, rzewna nawet przy wyrzutach. Siada obok niej, przysuwa ją do siebie, mówi jej o ojcu.

Gasną światła, halucynacja Hamleta tworzy ducha, widzi go, słyszy jego głos i wtedy rozmowa z matką staje się szeptem, mówią cicho, a z taką boleścią smutku i przerażenia... Słowa zamierają im na ustach, ledwo dosłyszeć je można, a jednak kamieniem padają na serce, tyle w nich uczucia! Czujemy, że się zrodziły z krwi i łez. Matka zwyciężona, klęka przed własnym synem, całuje jego ręce. Dobry syn, szlachetny człowiek, rozbrojony żalem przebacza z delikatnością tkliwego serca i powagą królewską.

Skończył się i ten straszny akt, publiczność ciężko oddycha, towarzysz mój obciera zimny pot ze swego czoła.

— Myślałem, że Irwing upadnie — szepcze mi — to byłoby okropne dla sztuki, lecz nie, on zwyciężył, musiał zwyciężyć, tryumf jego zupełny, podbił wszystkich zmuszając do uznania swego własnego Hamleta. Czy widziałeś pan świetniej pokonane wszelkie tradycje teatralne, przez śmiałość wewnętrznego poczucia. Ach, jaka szkoda, że już nie ma Hazlit'a!

Podaję rękę nieznajomemu, ściskam podaną serdecznie. Wy rozumiecie swego Szekspira, bo go kochacie. Irwing jest synem Anglji, w której panuje wolność. Nie druzgocze tradycji, on wznosi się na niej coraz wyżej, do niedoścignięgo ideału!

Warjactwo Ofelji tak łagodne, sympatyczne, ciche i spiew smutny i rzewny, oczy tylko zdradzają pomięszanie, zresztą nic. Nie mogła znieść odepchnięcia kochanka i zabójstwa przez niego ojca. Jej rola na świecie skończona, cóż jej zostało, odchodzi ścieląc sobie drogę kwiatami.

Pani Helena czarowała nas w tej scenie bladością greckiej twarzy i czarnemi oczyma patrzącemi tak spokojnie, dziecięco, przy tragiczności położenia rozdzierającego serca. Lecz i panna Betman zwyciężyła mnie, nie mogę zapomnieć jednego jej wyrazu. Rozdaje kwiaty, ostatni przeznacza dla siebie, mówiąc: „for me“ (dla mnie). Młodziutka miss obok mnie wybuchnęła cichym płaczem.

— Nie kochaj pani Hamleta — mówię pocichutku.

— Cóż on winien — odpowiada mi z dwoma strumieniami łez.

Zawsze jedna i ta sama obrona kochanych, przez zakochane.

Gdy zmęczony i przygnębiony straszną historją dramatu chciałem odpocząć, patrzałem w oczy dziewczęcia, na młodą jej twarz, aby w tem złagodzonem odbiciu boleści ludzkich orzeźwić się.

Pogrzeb. Z pochyłości góry zwolna zchodzi kondukt. Młode dziewczynki w bieli rzucają kwiaty, dzwony zdala zwiastują łzy na ziemi, a radość w niebie z pozyskania jednej duszy cichej męczennicy; zakonnicy zakapturzeni ze świecami i starzec ksiądz w ornacie. Hamlet oparty o nadgrobek, patrzy i słucha. Prosty smutek lub zamyślona twarz nie są odpowiednie dla Hamleta, może z nim tylko harmonizować gorzka posępność pełna melancholji, chociaż nie widać w nim zatwardziałości charakteru: jest on raczej towarzyskim mizantropem. Oto są słowa o Hamlecie Hazlit'a, i takim widzimy Irwinga. Ubrany w czarny płaszcz wyłożony futrem, okrągły kapelusz z czarnemi piórami. Nie wskakuje do grobu Ofelji zwyczajem Niemców komedjantów, zrzuca swoje futro, występuje naprzód, odpycha Laertesa, a przed nim rozstępuje się tłum, chyląc czoła. Książę stoi przed orszakiem, a do zmarłej mówi kochanek.

Ostatnia scena pojedynku była wzorem elegancji, pańskiego układu, szlachetności, czyli dżetlemaństwa w najwyższem słowa znaczeniu.

Królikowski jeżeli przeczyta tych parę ustępów, mam nadzieję, że uśmiechnie się jak stary towarzysz do dobrych znajomych. On tak przeczuwał Hamleta i tak go odtwarzał. Nie piszę więcej aby nie osłabić prawdy i siły w niej. Królikowski zasłużył na spadkobiercę i dlatego radbym aby ten artykuł czytał także Ładnowski. Od dawna upatrywałem w nim zdolności mogące się wznieść do potęgi odtworzenia genjuszu, jakim jest Hamlet. Radbym go jeszcze kiedy widzieć w tej roli, aby mu potem serdecznie dłoń uścisnąć. Artysta ten pracuje i posiada jeden nieporównany dar, który się nie zdobywa nigdy i niczem, ma on uczucie, którem szafuje, skarby jego rozrzuca, a zawsze posiada go pelne serce.

Śledźcie za tym człowiekiem na scenie, rozważajcie każdy krok jego, dużo miłości, całą sympatję mu oddajcie, ale nie pozwólcie zatrzymać się w pochodzie. Wielki to artysta dla przyszłe-

go dramatu, oczekiwanego przez całą Polskę... Może wielki dramaturg już jest między nami, żyje, patrzy i myśli swe układa, gdyż są już jego głośne zwiastuny i świetni prorocy.

Wielki talent twórczy, wymaga wielkiego aktora. Dla dramatu polskiego, który już zaczyna się objawiać w pośród nas, wychowujmy ten talent, niech olbrzymieje i idzie naprzód. Wzrastając w siłę, za każdym krokiem postępu, będzie zrzucał z siebie ozdoby efektów i sztukaterji teatralnych, bo wtedy będzie umiał udźwignąć na swych ramionach potęgę prawdy i spokój, przesuwając się przez scenę w ślad za nieubłaganą loiką rozwijającego sie charakteru. I wtedy przestanie być aktorem, bo będzie mógł być człowiekiem, prowadzącym nas przez dzieje swoich myśli, uczuć i z nich płynących czynów, zamkniętych w dramacie.

Dzisiaj nasze dramaty częściej opowiadają aniżeli działają, aktorzy uczą się z nich pięknej deklamacji i szlachetnej myśli. O czem one opowiadają?... Mówią, że przyjdzie czas, w którym mniej mówić, a więcej działać będą. Mowa pozostanie dla formy myśli, myśl stanie się zwierciadłem charakteru, a ten będzie przepływał po falach wypadków, pędzonych wichrem namiętności, w kierunku niecofnionych praw, które zarówno rządzą ludzkością, narodami, jak i miotaną w walce jednostką.

Sewer.

Z ODDALI.

O piękne morze, o czarowne brzegi,
Serce przechodnia podziwieniem wiąż...
A moje myśli jako pian tych śniegi
Ku innym stronom odbiegają wciąż.

Czemuż na widok ogni Wezuwiusza
I tych wijących się ognistych law,
Do innych brzegów leci moja dusza
Nad mały cichy mój rodzinny staw?

Tu księżyc dymem wulkanu zawiany
Lękliwe jawi oblicze z za chmur,
Tam świeci błogo na te zboża łany
I na niebieskie szczyty moich gór.

Tam w biednej chacie ojciec i rodzina,
Tam i ktoś drugi przypomina mnie,
Tam z jednej druga wije się godzina
I szczęście schodzi w niesklóconym śnie.

Okręt odpływa w te znajome strony,
I w srebrnych maszty kołyszą się mgłach,
Pozdrawiam ciebie kraju oddalony
W każdem co chwila powtarzanem „ach"...

T. L.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy)

PRZYGODY NIEBIESKIEGO MOTYLA.

Teatr przedstawia wiejską okolicę. Godzina szósta wieczorem. Słońce zachodzi. Przy podniesieniu zasłony, niebieski motyl i boża krówka, męzkiego rodzaju, siedzą konno na listku paproci. Spotkali się byli z sobą rano i dzień cały przepędzili razem. Ponieważ późno już jest, Boża krówka zbiera się do odejścia.

Motyl.

Jakto?... Odchodzisz już?...

Boża krówka.

A tak! muszę wracać; późno już.

Motyl.

Zaczekaj trochę, cóż u licha! Nigdy nie jest zapóźno na powrót do domu... Ja na przykład, nudzę się na śmierć w domu, a ty? Czy może być co głupszego nad drzwi, ściany, okna, kiedy na dworze mamy słońce, rosę i maki i świeże powietrze, i wszystko. Jeżeli maki nie w twoim guście, to mi powiedz...

Boża krówka.

Niestety! Przepadam za nimi.

Motyl.

No, to czegoż masz odchodzić, gapiu; zostań ze mną. Widzisz, jak tu dobrze; powietrze łagodne...

Boża krówka.

Tak, ale...

Motyl (popychając ją na trawę).

No! potarzaj się w trawie; trawa do nas należy.

Boża krówka (opierając się.)

Nie! pozwól proszę; na prawdę! muszę iść.

Motyl.

Cyt! słyszysz?

Boża krówka (przestraszona).

Co takiego?

Motyl.

To przepióreczka spiewa sobie, podpijając, ot w tej winnicy... A co? nieprawdaż, jaka śliczna piosenka? a wieczór tak ładny i tak tu miło słuchać!...

Boża krówka.

Zapewne, ale...

Motyl.

Cicho bądź.

Boża krówka.

Co takiego.

Motyl.

Ludzie idą.

(Ludzie przechodzą).

Boża krówka (cicho, po chwilowem milczeniu).

Człowiek bardzo jest zły, nieprawdaż?

Motyl.

O! Bardzo.

Boża krówka.

Zawsze się boję, by mię który z nich idąc nie rozdeptał; mają tak wielkie nogi, a moje krzyże tak słabe.. Ty, nie wielki jesteś także, ale masz skrzydła. To rzecz ogromna!

Motyl.

Ba! mój kochany, jeżeli te wałkonie chłopi przestraszają cię, to wleź na mój grzbiet; o, ja silny jestem; moje skrzydła to nie tak jak u ważek, co to mają łuskę cebuli przyczepioną do boków! Mogę cię nieść gdzie zechcesz i jak długo zechcesz.

Boża krówka.

Oh! nie, dziękuję panu. Nigdybym się nie ośmielił...

Motyl.

Czyż to tak trudno wleść?

Boża krówka.

Nie! ale...

Motyl.

A właźże, głupcze!

Boża krówka.

Ale odniesiesz mię do domu; bo inaczej...

Motyl.

No, bądź spokojny, zaniosę zaraz.

Boża krówka (wołając na motyla).

Bo to widzisz, u nas wieczorem modlitwa. Rozumiesz?

Motyl.

Naturalnie... Cofnij się trochę w tył, tak, dobrze; a teraz cicho, rozwijam skrzydła.

(Prr! Ulatują; rozmowa ciągnie się dalej w powietrzu).

Mój kochany, doskonale idzie! wcale nie jesteś ciężki.

Boża krówka (przestraszona).

Ah!... panie...

Motyl.

No? a co tam?

Boża krówka.

Nic nie widzę... głowa,... w głowie mi się kręci; chciałbym zejść...

Motyl.

Jakiś ty głupi! Jeżeli w głowie ci się kręci, to zamknij oczy. Zamknąłeś?

Boża krówka (zamykając oczy).

Tak..

Motyl.

Lepiej ci?

Boża krówka (z wysiłkiem).

Trochę lepiej.

Motyl (śmiejąc zię ukradkiem).

Jak widzę, w rodzinie twojej nie mają wielkiego upodobania do nadpowietrznej żeglugi...

Boża krówka.

Oh! nie.

Motyl.

Nie wasza to wina, że nie wynaleziono dotychczas sposobu sterowania balonem.

Boża krówka.

Oh! nie...

Motyl.

No, jaśnie panie, jesteśmy na miejscu.

(siada na konwalji).

Boża krówka (otwierając oczy).

Przepraszam! ale... ja nie tutaj mieszkam.

Motyl.

Wiem o tem; ale że jeszcze bardzo wcześnie, przyniosłem się do konwalii, jednej z moich przyjaciółek. Odświeżymy sobie trochę gardło; to przecie nie grzech...

Boża krówka.

Oh! ja nie mam czasu...

Motyl.

Ba! chwileczkę tylko...

Boża krówka.

A przytem, nie bywam w świecie...

Motyl.

Chodź-że! powiem, żeś mój kuzyn; będziesz dobrze przyjęty, zobaczysz!...

Boża krówka.

I późno już.

Motyl.

Oh, nie! nie późno; słyszysz, konik polny...

Boża krówka (po cichu).

A przytem... ja... ja nie mam pieniędzy...

Motyl (ciągnąc go).

Chodź! konwalja częstuje.

(Wchodząc do konwalji. — Zasłona spada).

W drugim akcie, kiedy zasłona podnosi się, noc już prawie zapadła... Dwaj przyjaciele wychodzą od konwalji... Boża krówka jest trochę podpita.

Motyl (nadstawiając grzbiet).

A teraz, w drogę!

Boża krówka (odważnie włażąc).

W drogę!

(Prr! Odlatują... Rozmowa toczy się dalej w powietrzu).

Motyl.

No! Jakże ci się podobała moja konwalja?

Boża krówka.

Ah! mój kochany, zachwycająca jest; piwnicę swą i wszystko, co posiada, ofiaruje nieznanemu sobie zupełnie...

Motyl (spoglądając na niebo).

Oh! oh! Febus wygląda przez okno; musimy się spieszyć...

Boża krówka.

Spieszysz się! dla czego?

Motyl.

To już ci nie pilno teraz wracać do domu?...

Boża krówka.

Oh! Bylebym w porę przybył na modlitwę... Zresztą, to niedaleko, do nas... tam, z tyłu.

Motyl.

Jeżeli tobie nie pilno, to i mnie nie.

Boża krówka (z wylaniem).

Jakiś ty dobry!... Nie rozumiem, dla czego tak nie masz przyjaciół. Mówią o tobie: „To włóczęga; poeta, skoczek!“...

Motyl.

Tak? tak? a któż to mówi?

Boża krówka.

Mój Boże! Chrząszcz...

Motyl.

Ah! tak, ten grubas, nazywa mię skoczkiem, bo sam brzuchaty.

Boża krówka.

Ale bo nie on jeden nienawidzi cię...

Motyl.

Tam do licha!

Boża krówka.

Ślimaki też nie lubią cię; ani niedźwiadki, ani nawet mrówki.

Motyl.

Doprawdy?

Boża krówka (poufnie.)

Nigdy nie umizgaj się do samki pająka; utrzymuje, żeś szkaradny.

Motyl.

Fałszywie ją powiadomiono.

Boża krówka.

Tak?... Gąsienice są tegoż zdania...

Motyl.

Spodziewam się!... ale powiedz mi w świecie, gdzie sam żyjesz, bo przecie nie należysz do świata gąsienic, czy i tam także źle jestem uważany?...

Boża krówka.

To, to jak w jakiej rodzinie. Młodzież jest za tobą. Starzy w ogóle tego są zdania, że nie dosyć moralny jesteś.

Motyl (smutnie.)

Jak widzę, nie wielu mam przyjaciół...

Boża krówka.

Co to, to prawda, mój biedaku. Pokrzywy nie lubią cię. Ropuchy nienawidzą; świerszcz nawet, mówiąc o tobie, powiada: „Ten m... m... motyl!“

Motyl.

Czy i ty nienawidzisz mię, tak jak tamci wszyscy?

Boża krówka.

Ja!.. Ja cię kocham z całego serca; tak dobrze na twoim grzbiecie! I prowadzisz mię do konwalji, to tak przyjemnie!... Ale, jeżeli cię zmęczyłem, to możebyśmy się znowu, gdzie zatrzymali... nie jesteś zmęczony?

Motyl.

Znajduję, żeś trochę ciężki, ale mniejsza o to.

Boża krówka (wskazując na konwalje).

To wejdźmy tutaj, odpoczniesz.

Motyl.

Ah! dziękuję!... Konwalja, zawsze to samo.

(cicho, tonem rozpustnym).

Wolę wejść tutaj obok...

Boża krówka (mocno zarumieniona).

Do róży?... Oh! nie, nigdy...

Motyl (ciągnąc go).

Chodźże! nikt nas nie zobaczy.

(Wchodzą ostrożnie do róży. — Zasłona spada.)

W trzecim akcie...

Ale nie chcę, kochani czytelnicy, dłużej nadużywać cierpliwości waszej. Wiem, że w tych czasach, wiersze nie mają daru podobania się. To też zatrzymuję się nad tem, com z nich przytoczył, i resztę poematu opowiem w krótkich słowach.

W trzecim akcie noc zupełna... Dwaj przyjaciele razem wychodzą od Róży... Motyl chce odprowadzić Bożą krówkę do domu rodziców jej, ale ta opiera się; zupełnie jest pijana, przewraca koziołki na trawie i wykrzykuje swawolnie... Motyl zmuszony jest gwałtem uprowadzić ją. Oboje żegnają się w progu i obiecują sobie zobaczyć się wkrótce... Potem Motyl odchodzi sam w ciemną noc. On także trochę jest pijany, ale pijany na smutno: przypomina sobie to, co mu powiedziała Boża krówka, i z goryczą zapytuje siebie, za co go tak wszyscy nienawidzą jego, co nigdy nic złego nie zrobił nikomu... Niebo pochmurne! Wiatr dmie, pole czarne zupełnie... Motyl boi się, zimno mu; ale pociesza się myślą, że przyjaciel jego w bezpiecznem miejscu i w ciepłem łóżeczku... W mroku widać, jak wielkie nocne ptaki cichym lotem przesuwają się przez scenę. Błyska! Złośliwe zwierzęta, zaczajone pod kamieniami, pokazują się motylowi i szydzą, mówiąc: „Mamy go!“; nieszczęśliwy błądzi w przestrachu na prawo, na lewo, a tu oset pchnie go swem kolcem jak szpadą. Niedźwiadek kleszczami swemi łapie i ściska, wielki kosmaty pająk wyrywa mu kawał jego płaszcza z niebieskiego atłasu, nakoniec nietoperz uderzeniem skrzydła łamie mu krzyże. Śmiertelnie raniony Motyl pada... Podczas kiedy on kona na trawie, pokrzywy radują się a ropuchy mówią: „Pozbyłyśmy się go nareszcie!“

O świcie mrówki, idące na robotę, znajdują trupa koło drogi. Zaledwie rzuciły obojętnem okiem na niego i oddaliły się, nie myśląc wcale o pochowaniu. Mrówki nie pracują za darmo... Szczęściem, towarzystwo grobarzy przechodziło tamtędy. Są to, jak wiecie, małe czarne zwierzątka, które ślubowały grzebać umarłych... Pobożnie zaprzęgają się do zmarłego Motyla i ciągną go na cmentarz... Tłum ciekawych ciśnie się koło niego i każdy głośno robi swoje uwagi... Małe brunatne świerszcze, grzejąc się na słońcu przed drzwiami swemi, mówią poważnie: „Nadto lubił kwiaty!“ — „Nadto biegał po nocach!“ dodają ślimaki a grubobrzuszne złotawce kołyszą się w swych lśniących sukniach, mrucząc: „Wielki był włóczęga! wielki włóczęga!“ „Nadto się włóczył! nadto włóczył!“ W całym tym tłumie nie znalazło się ani słowo pożałowania dla biednego nieboszczyka; tylko na łąkach okolicznych wysokie lilje zamknęły się i koniki polne spiewać przestały.

Ostatnia scena odbywa się na cmentarzu Motylów. Kiedy grobarze skończyli swą pracę, chrabąszcz jeden, który przyszedł z orszakiem pogrzebowym, uroczyście zbliża się do grobu i, stając na grzbiecie, rozpoczyna pochwalną mowę nieboszczyka. Na nieszczęście, pamięć mu nie służy; zatrzymuje się z łapkami w powietrzu, wyrabia niemi przez całą godzinę, plątając słowa i zdania... Kiedy mowca skończył, wszyscy się rozchodzą, i na pustym cmentarzu wysuwa się z poza grobu Boża krówka znajoma już nam z pierwszych scen. Zalana łzami, klęka na świeżej ziemi i rzewnie modli się za swego biednego małego przyjaciela, który spoczywa tam!“

IX.

Będziesz sprzedawał porcelanę.

Po ostatnim wierszu poematu mego, Jakób przejęty zapałem powstał, chcąc osypać mię oklaskami; ale widząc przestraszoną minę wszystkich tych poczciwców, zatrzymał się.

Na prawdę, zdaje mi się, że gdyby nawet ognisty koń z Apokalipsy wpadł był do żółtego saloniku, nie wywołałby jeszcze tak wielkiego przerażenia jak mój niebieski motyl. Pasajon'owie, Fougeron'owie, odurzeni jeszcze tem co usłyszeli, patrzali na mnie szeroko rozwartemi, okrągłemi źrenicami; bracia Ferrouillat dawali sobie znaki. Wszyscy milczeli. Możecie sobie wyobrazić, jak byłem zmięszany...

Nagle, wśród ciszy i ogólnego zakłopotania, głos, a jaki głos! bezdźwięczny, zimny, przytłumiony, głos widma, dał się słyszeć z za fortepianu; zadrżałem na krzesełku mojem. Po raz pierwszy od dziesięciu lat, człowiek z ptasią głową, szanowny Lalouette odezwał się: „Bardzo rad jestem, że zabito motyla tego — rzekł dziwaczny starzec, gryząc swój cukier z miną okrutną; — ja, nie lubię motylów!“

Wszyscy roześmiali się, i rozpoczęła się dyskusja nad poematem moim.

Członek towarzystwa literackiego, Ferrouillat starszy, znajdował utwór mój trochę za długim i radził mi bardzo skrócić go do rozmiarów dwóch lub trzech piosenek, a wówczas będzie to rodzaj czysto francuski. Uczeń Alfort'u, uczony naturalista, zrobił mi uwagę, że Boże krówki mają skrzydła, co odejmuje wszelką cechę prawdopodobieństwa bajeczce mojej. Ferrouillat utrzymywał, że czytał to już gdzieś. „Nie słuchaj ich — rzekł mi Jakób po cichu, jest to arcydzieło.“ Pierrotte nie mówił nic i zdawał się być bardzo zafrasowany. Może poczciwina, siedząc przez cały czas czytania obok córki swej, uczuł

był w dłoniach swych drżenie małej rączki nadto wrażliwej, albo może schwycił w przelocie nadto gorące spojrzenie czarnych oczu; dość, że dnia tego Pierrotte, że tak powiem, miał szczególną minę; przez cały wieczór, nie odstąpił panny swojej tak, że nie mogłem ani słowa przemówić do oczu czarnych, i wcześnie wyszedłem ztamtąd, nie chcąc wysłuchać nowej piosnki Ferrouillata starszego, czego mi nigdy nie darowano.

We dwa dni po tym pamiętnym wieczorze, otrzymałem od panny Pierrotte bilecik krótki, ale wiele mówiący: „Przybądź prędko, ojciec wie o wszystkiem.“ A niżej, moje drogie oczy czarne dodały: „kocham cię.“

Wyznać muszę, że zmięszałem się trochę na tę wiadomość. Od dwóch dni biegałem do wydawców z rękopismem moim i daleko więcej myślałem o poemacie jak o czarnych oczach. Wreszcie myśl rozmówienia się z grubym Sewenolczykiem, nie uśmiechała mi się wcale... To też pomimo naglącego wezwania czarnych oczu, przez czas jakiś zwlekałem i nie szedłem *tam*, uspakajając samego siebie temi słowy: „Jak sprzedam mój poemat.“ Na nieszczęście, nie sprzedałem go.

W owych czasach — nie wiem czy dzisiaj jest tak samo — panowie wydawcy byli to ludzie bardzo łagodni, bardzo grzeczni, bardzo hojni, bardzo uprzejmi, ale mieli jedną wielką wadę: nigdy nie można było zastać ich w domu. Jak niektóre gwiazdy nadto drobne dla pospolitego oka ukazują się wielkim teleskopom obserwatorjum, ci panowie również byli niewidzialni dla tłumu pospolitego. W jakiejbądź porze przyszedłbyś, zawsze ci mówiono, że ich nie ma, i że należy przyjść innym razem...

Boże! ileż księgarni zwiedziłem! ileż owych drzwi oszklonych otwierałem! ileż razy stawałem przed wystawami rozmaitych księgarni, pytając siebie z bijącem sercem: Wejść, czy nie wejść? Tam wewnątrz, ciepło. Zapach nowej książki rozchodzi się. Pełno małych łysych człowieczków, bardzo zatrudnionych, którzy ci odpowiadają to z za kantoru, to z góry ze szczytu podwójnej drabiny. Co do wydawcy, tego nie było nigdy... Co wieczór wracałem do domu smutny, zmęczony, znerwowany. „Odwagi, mówił mi Jakób, jutro będziesz szczęśliwszy.“ I nazajutrz uzbroiwszy się w rękopism, znowu rozpoczynałem kampanję. Nieszczęśliwy ten rękopism! Dzień za dniem stawał się coraz cięższym, coraz więcej męczącym. Najprzód nosiłem go pod pachą, dumnie, niby nowy parasol; ale w końcu wstydziłem się go i chowałem na piersiach, starannie zapinając surdut za nim.

Tak minął tydzień. Nadeszła niedziela. Jakób, jak zwykle, poszedł na obiad do Pierrotte'a, ale poszedł sam. Tak byłem zmęczony polowaniem na niewidzialne gwiazdy, że cały dzień przeleżałem... Wieczorem, Jakób wróciwszy siadł na brzegu łóżka mego i łagodnie mię łajał:

— Słuchaj, Danielu: źle robisz, że nie idziesz *tam*. Czarne oczy płaczą, martwią się; więdną, nie widzą cię... Przez cały wieczór mówiliśmy o tobie... Ah! rozbójniku, jak ona cię kocha!

Biedny Jakób, mówiąc to, miał łzy w oczach.

— A Pierrotte? — spytałem nieśmiało. Co mówi Pierrotte?...

— Nic... Zdawał się tylko zdziwionym, nie widząc cię... Trzeba pójść tam, mój Danielu; pójdziesz, nieprawdaż?

— Jutro, Jakóbie, obiecuję ci.

Podczas kiedy tak rozmawialiśmy, Biała-kukułka właśnie wróciła do siebie i zanuciła swoje nieskończone... *Tolocototignau! Tolocototignau!* Jakób zaczął śmiać się: „Czy wiesz — rzekł mi po cichu, oczy czarne zazdrośne są o naszą sąsiadkę. Wyobrażają sobie, że to ich rywalka.. Nadaremnie objaśniłem je, nie chciano mi wierzyć... Oczy czarne zazdrośne o Białą-kukułkę!... to zabawnie, nieprawdaż?“ Udałem, że śmieję się także; ale przed samym sobą wstydziłem się mocno, kiedym pomyślał sobie, że z mojej to winy czarne oczy zazdrościły Białej-kukułce.

Nazajutrz po południu, udałem się do pasażu Saumon. Chciałbym był pójść wprost na czwarte piętro i pomówić z czarnemi oczami, zanim zobaczę Pierrotte'a; ale Sewenolczyk czatował na mnie, i nie mogłem go uniknąć. Trzeba było wejść do magazynu i zasiąść obok niego, za kantorem. Byliśmy sami. Od czasu do czasu cichy głos fletu dochodził nas z tylnej izdebki.

— Panie Danielu — rzekł mi Sewenolczyk z taką płynnością i pewnością mowy, jakiej nie podejrzywałem u niego nawet — chcę dowiedzieć się od pana o rzeczy bardzo prostej, i nie będę pytał o to krętemi drogami. Że tak powiem... maleńka pokochała pana miłością... Czy pan kochasz ją także?

— Z całej duszy, panie Pierrotte.

— A więc, wszystko dobrze; oto co mam panu zaproponować. Jesteś pan tak młody i maleńka także, iż nie podobna jest myśleć o małżeństwie wcześniej jak za trzy lata. Masz pan zatem przed sobą trzy lata na wyrobienie sobie pozycji jakiejś... Nie wiem czy zamierzasz pozostać na zawsze w towarzystwie niebieskich motylów; ale wiem dobrze, cobym robił, gdybym był na pańskiem miejscu... Że tak powiem, porzuciłbym bajeczki moje i wszedłbym do dawnego domu Lalouette, obznajmiłbym się z handlem i takbym się urządził, ażeby za trzy lata Pierrote, który starzeje się, mógł znaleść w mojej osobie nie tylko spólnika ale i zięcia... Hę? Co mówisz o tem, kumie?

Przy tych ostatnich słowach Pierrotte trącił mię mocno łokciem i zaczął śmiać się, ale to śmiać... Poczciwiec z pewnością wyobrażał sobie, że sprawi mi niesłychaną radość, dając mi możność sprzedawania porcelany obok siebie. Nie miałem siły rozgniewać się, ani odpowiedzieć na to; byłem przebity...

Talerze, kolorowe szkła, kule z alabastru, wszystko to tańczyło koło mnie. Naprzeciw kantoru, na półce, pasterze i pasterki, urobione z delikatnej masy, spoglądały na mnie szyderczo i zdawały się mówić, potrząsając pastuszemi laskami: „Będziesz sprzedawał porcelanę!“ Trochę dalej figury chińskie w sukniach fijołkowych, kiwały poważnymi łbami swymi, jak gdyby potwierdzając to, co mówili pasterze: „Tak... tak... będziesz sprzedawał porcelanę! A tam w głębi, flet świstał z cicha, szydersko, ponuro: „Będziesz sprzedawał porcelanę,... będziesz sprzedawał porcelanę!“... Można było oszaleć od tego!

Pierrotte sądził, że wzruszenie i radość odjęły mi mowę.

— Pomówimy o tem dziś wieczór — rzekł wreszcie, chcąc dać mi czas przyjścia do siebie... Teraz idź do malutkiej. Że tak powiem... czas musi jej wydawać się długim.

Poszedłem do malutkiej, którą znalazłem w żółtym saloniku; haftowała nieskończone swoje pantofle, w towarzystwie damy wielkich zalet... Droga Kamila moja niech mi daruje! Nigdy jeszcze panna Pierrotte nie wydała mi się tak prawdziwą Pierrotte, jak dnia tego. Nigdy jeszcze powolny jej sposób wyciągania igły i głośnego liczenia ściegów nie rozdrażnił mię tak mocno. Z małymi swymi czerwonymi palcami, z kwitnącą twarzyczką i spokojną minką podobna była do owych pasterek z glinki, co to przed chwilą wołały na mnie w tak drażniący sposób: „Będziesz sprzedawał porcelanę!“ Na szczęście, oczy czarne były tam także, trochę przyćmione, trochę melancholiczne, ale tak naiwnie rade, że mię widzą, iż uczułem się wzruszony. Nie długo to. Prawie zaraz po mnie nadszedł Pierrotte. Nie miał już zapewne tak wielkiej ufności w damie wielkich zalet.

Od tej chwili oczy czarne znikły i na całej linji zapanowała porcelana. Pierrotte bardzo był wesoły, bardzo mowmy, jednem słowem nieznośny; „że tak powiem“ sypały się jak gęsty grad. Obiad był hałaśliwy i nadto długi... Wstając od stołu, Pierrotte odprowadził mię na stronę i znowu zagaił rzecz o propozycji swojej. Miałem czas uspokoić się i odpowiedziałem mu z dosyć zimną krwią, że potrzebuję namyślić się i odpowiem za miesiąc.

Sewenolczyk musiał być niepomiernie zdziwiony, widząc mię tak mało pochopnym do przyjęcia propozycji jego; ale miał na tyle taktu, że mi tego nie pokazał.

— „Rzecz skończona — rzekł mi — za miesiąc.“ I nie było już więcej mowy o tem... Ale cios był zadany. Przez cały wieczór nieszczęsne, fatalne: „Będziesz sprzedawał porcelanę“, brzmiało mi w uszach. Słyszałem je w gryzionym cukrze ptasiej głowy, która właśnie zjawiła się w towarzystwie pani Lalouette i zasiadła w rogu fortepianu jak zawsze; słyszałem je w ruladach fletnisty, w Rèveries Resellen'a, które panna Pierrotte nie zaniedbała odegrać nam; czytałem je w ruchach wszystkich tych mieszczańskich marjonetek w kroju ubrania ich, w rysunku obicia, w alegorji zegara — Venus zrywająca różę, z której ulatuje Kupidyn — w formie mebli, w najmniejszych szczegółach tego okropnego salonu żółtego, gdzie ci sami ludzie mówili co wieczór te same rzeczy, gdzie ten sam fortepian grał co wieczór te same marzenia; jednostajność wieczorów tych czyniła salonik ten podobnym do grającego obrazu. Salon żółty, obraz grający!... Gdzieżeście się kryły, wy piękne czarne oczy!...

Kiedy wróciłem z tego nudnego wieczora i opowiedziałem Jakóbowi propozycją Pierotte'a, ten więcej jeszcze jak ja był nią oburzony:

— Daniel Eyssette kupcem porcelany!... A to dobre, chciałbym to widzieć—mówił poczciwy chłopiec, czerwieniąc się z gniewu.—To tak, jak gdyby zaproponowano, by Lamartine sprzedawał zapałki, albo Sainte-Bevue handlował szczotkami... Stary ten głupiec Pierrotte!... Chociaż niepodobna jest mieć mu tego za złe, biedny człowiek, nie rozumie tego. Kiedy zobaczy, jakie powodzenie ma twoja książka i we wszystkich dziennikach ujrzy imię twoje, inaczej wówczas zaśpiewa.

— Zapewne, Jakóbie; ale chcąc żeby dzienniki mówiły o mnie, trzeba żeby książka moja pokazała się, a widzę już teraz dobrze, iż się nie pokaże... Dlaczego?... Ależ, mój kochany, dlatego, że nie mogę znaleźć wydawcy, i że panów tych nigdy poeta zastać w domu nie może. Nawet wielki Baghavat musi drukować wiersze swe własnym kosztem.

— No! to i my tak zrobimy — rzekł Ja-

*

kób, pięścią uderzając w stół — będziemy drukowali naszym kosztem!

Spojrzałem na niego zdumiony:

— Naszym kosztem?

— Tak mój mały, naszym kosztem... Teraz właśnie markiz drukuje pierwszy tom pamiętników swoich... Codziennie widuję się z drukarzem jego... Jestto Alzatczyk z czerwonym nosem i poczciwą miną. Jestem pewny, że pokredytuje nam... Będziemy go spłacali w miarę tego, jak śię książka sprzedawać będzie... Tak! rzecz postanowiona; jutro zobaczę się z nim.

Rzeczywiście, nazajutrz Jakób idzie do drukarza i wraca od niego zachwycony: „Rzecz załatwiona, mówi mi z miną tryumfującą; książka twoja jutro idzie do druku. Kosztować nas będzie to dziewięćset franków, bagatela. Wystawię weksle po trzysta franków, spłacalne co trzy miesiące. A teraz zrozumiej mię dobrze. Sprzedajemy tom po trzy franki; mamy tysiąc egzemplarzy; a zatem książka twoja powinna nam dać trzy tysiące franków... rozumiesz mnie? trzy tysiące franków. Z tego opłacimy drukarnię, potem od każdego egzemplarza po jednym franku księgarzom sprzedającym dzieło, potem przesyłka do dzienników... Pozostaje nam, jasno jak słońce, w zysku tysiąc sto franków. Hę? to ładnie na początek, nieprawdaż?...“

Czy ładnie? spodziewam się!... Zaprzestać polowania na niewidzialne gwiazdy i upokarzających stacyj u drzwi księgarzy, a w dodatku pozyskać tysiąc sto franków na odbudowanie rodzinnego ogniska... To też wielka radość dnia tego w dzwonnicy Saint-Germain! Ile projektów, ile marzeń! A dni następnych ileż małych radości sączonych kropla za kroplą; chodzić do drukarni, robić korektę, spierać się o kolor okładki, widzieć papier mokry jeszcze, wychodzący z pod prasy, a na nim wydrukowane myśli twoje; dwa, trzy razy biegać do robotnika zszywającego arkusze książki i wrócić nakoniec z pierwszym egzemplarzem, który drżąc otwierasz końcem palców... Powiedźcie, czy jest co rozkoszniejszego na świecie?

Pierwszy egzemplarz *Komedji sielankowej* z prawa należał do czarnych oczu. Tegoż wieczora zaniosłem go w towarzystwie Jakóba, który chciał się nacieszyć tryumfem moim. Dumni i jaśniejący szczęściem, weszliśmy do żółtego salonu. Wszyscy byli już tam zebrani.

— Panie Pierrotte, rzekłem do Sewenolczyka — pozwól mi ofiarować pierwszy mój utwór Kamilli“. I wsunąłem tomik w drogą, małą rączkę, która drżała z radości! Oh! gdybyście widzieli jakiem ślicznem spójrzeniem podziękowały mi czarne oczy, jak błyszczały, odczytując imię moje na okładce. Pierrotte był mniej zachwycony. Słyszałem go, jak pytał Jakóba, co mi może przynieść taki tomik:

— „Tysiąc sto franków, śmiało odpowiedział Jakób“. Potem, długo rozmawiali z sobą po cichu, ale nie słuchałem ich... Cały oddałem się radości, patrząc, jak długie, jedwabne rzęsy czarnych oczu, spuszczały się na książkę moją i podnosiły na mnie z wyrazem uwielbienia... Moja książka! czarne oczy! dwa szczęścia, które zawdzięczałem mojej matce Jakóbowł.

Tego wieczora, zanim wróciliśmy do domu, poszliśmy przejść się po galerjach Odeonu, ażeby zobaczyć, jak wygląda Komedja sielankowa na wystawach księgarskich.

— Zaczekaj na mnie — rzekł mi Jakób — dowiem się, ile egzemplarzów sprzedano już.

Czekałem na niego, przechadzając się wzdłuż i wszerz, z ukosa spoglądając na pewną okładkę zieloną z brzegami czarnymi, która świeciła się na środku wystawy. Jakób wrócił po chwili; blady był ze wzruszenia.

— Mój kochany,—rzekł mi, — sprzedano już jeden egzemplarz. To dobra wróżba...

Milcząc, ścisnąłem go za rękę. Nadto byłem wzruszony, bym mógł przemówić, ale myślałem sobie: Jest ktoś w Paryżu, co wydał trzy franki na kupienie tego płodu głowy twojej, co cię czyta, co sądzi cię... Kto jest ten ktoś? Chciałbym go poznać... Niestety! na moje nieszczęście, miałem go wkrótce poznać, tego strasznego ktosia.

Nazajutrz po zjawieniu się książki mojej, jadłem śniadanie obok srogiego myśliciela, kiedy Jakób cały zdyszany wpadł do sali restauracyjnej.

— Wielka nowina, rzekł, uprowadzając mię z restauracji; wyjeżdżam dziś wieczór o godzinie siódmej z markizem... Jedziemy do Nicei, gdzie siostra jego jest umierająca.. Może być, że zabawimy tam długo... Nie troszcz się o utzymanie twoje... Markiz podwaja mi płacę. Będę mógł przysyłać ci sto franków miesięcznie... Co ci jest? Czego bledniesz? No, Daniel.., nie bądź dzieckiem... Wróć do sali, skończ śniadanie swoje i wypij pół butelki bordeaux dla dodania sobie odwagi. Ja biegnę pożegnać się z Pierrott'em, zobaczyć drukarza, każę odnieść egzemplarz przeznaczone dziennikom... Nie mam ani chwili czasu... Bądź w domu o godzinie piątej.

Patrzałem za nim, jak wielkimi kroki podążył ulicą Saint-Benoit, potem wróciłem do restauracji; ale nie mogłem już ani jeść, ani pić; myśliciel wypróżnił moją pół butelkę bordeaux. Ściskało mi się serce na myśl, że matka moja, Jakób, będzie daleko odemnie za godzin kilka. Napróżno, myślałem o książce mojej o czarnych oczach, nic nie mogło oderwać mię od tej myśli, że Jakób wyjeżdża i że pozostanę sam, zupełnie sam w Peryżu, panem samego siebie i odpowiedzialnym za wszystko, co zrobię.

Na zapowiedzianą godzinę Jakób stawił się. Chociaż wzruszony sam, do ostatniej chwili okazywał mi szlachetność duszy swojej i niezrównane uczucie przywiązania do mnie. O mnie jedynie myślał, o mojem życiu, o mojej wygodzie. Pod pozorem ułożenia rzeczy swoich w tłumoku, zrobił przegląd mojej bielizny i mego odzienia:

— Koszule twoje w tym kącie, Danielu... chustki obok nich, za niemi krawatki.

To też mówiłem mu:

— Nie w tłumoku swym układasz, Jakóbie, ale w szafie mojej.

Kiedy szafa i tłumok były już gotowe, posłano po powóz i pojechaliśmy do dworca. W drodze Jakób dawał mi rozmaite polecenia:

—Pisz do mnie często—mówił... — Przysylij mi wszystkie artykuły, jakie ukażą się w przedmiocie twojej książki, szczególnie ten, co będzie podpisany imieniem Gustawa Planeche. Skleję zeszyt i wszystkie do niego wprawię. Będzie to złota księga familji Eyssette... A prawda, wiesz że praczka przychodzi we wtorek... Szczególnie pilnuj się, by powodzenie nie zaślepiło cię... Rzecz pewna, że powodzenie będziesz miał wielkie, a rzecz to niebezpieczna, powodzenie paryskie. Szczęściem Kamilla będzie broniła cię od pokus... Ale nadewszystko, mój Danielu, błagam cię, byś często chodził tam, by czarne oczy nie płakały na ciebie.

W tej chwili przejeżdżaliśmy koło ogrodu botanicznego. Jakób zaczął śmiać się.

— Czy pamiętasz — rzekł mi — że przechodziliśmy tędy pewnej nocy, temu cztery czy pięć miesięcy?... Hę?... Jaka różnica między tamtym Danielem a dzisiejszym?... Ah! daleko zaszedłeś przez te cztery miesiące!...

Poczciwy mój Jakób wierzył na serjo, żem daleko zaszedł, a ja także, biedny głupiec, byłem przekonany o tem.

Przybyliśmy do dworca. Markiz był już tam. Zdaleka zobaczyłem tego małego człowieczka, z głową najeżoną jak u białego jeża; podskakując, przebiegał salę wzdłuż i wszerz.

Prędko, prędko — rzekł mi Jakób — bądź zdrów.—I ująwszy głowę mą w szerokie swe dłonie, pocałował mię z całych sił swoich trzy lub cztery razy, potem pobiegł do swego tyrana.

Patrząc jak znikał, doznawałem dziwnego uczucia.

Nagle uczułem się mniejszym, więcej nieśmiałym, więcej dziecinnym, jak gdyby brat mój odchodząc zabierał z sobą szpik kości moich, moją siłę, śmiałość moją i połowę mego wzrostu. Tłum, który mię otaczał, przestraszał mię. Stałem się znowu tym Małym.

Wieczór nadchodził. Powoli drogą najdłuższą, ulicami najbardziej samotnemi ten Mały wracał do swojej dzwonnicy. Myśl, że znajdzie się sam jeden w tym pustym pokoju, okropnie go zasmucała. Chciałby był pozostać na dworze do rana. Ale trzeba było wracać.

Kiedy przechodził mimo izdebki odźwiernego, ten zawołał:

— Panie Eysette, list!

Był to mały bilecik pachnący, atłasowy, zgrabny; pismo kobiece delikatniejsze, drobniejsze niż pismo czarnych oczu... Od kogożby to mogło być? Szybko przełamałem pieczątkę i przeczytałem na schodach przy świetle gazu.

„Panie sąsiedzie!

„Komedja sielankowa leży na stole moim od wczoraj wieczór, ale braknie jej dedykacji. Zrobiłbyś mi pan wielką przyjemność, gdybyś ją nadpisał dzisiejszego wieczora, pijąc u mnie herbatę... Wiesz pan, jak pomiędzy artystami.

Irma Borel.

A poniżej:

„Dama z pierwszego piętra“.

Dama z pierwszego piętra!... Kiedy ten Mały przeczytał podpis ten, wielki dreszcz przebiegł go po całem ciele. Ujrzał ją przed sobą tak, jak mu się ukazała owego rana, kiedy zstępowała ze schodów strojna w aksamit, piękna, zimna, wspaniała, z małą blizną białą w kąciku ust. Taka to kobieta kupiła poezje jego; na tę myśl serce zabiło mu dumą.

Stał tak przez chwilę na schodach z listem w ręku, zapytując siebie, czy ma iść do swego pokoju czy zatrzymać się na pierwszem piętrze; nagle polecenie Jakóba przyszło mu na pamięć. „Szczególnie, Danielu, niech czarne oczy nie płaczą na ciebie“. Tajemne przeczucie ostrzegało go, że jeżeli pójdzie do damy z pierwszego piętra, czarne oczy będą płakały i Jakób smucić się będzie. Ten Mały stanowczo włożył list do kieszeni i powiedział sobie: „Nie pójdę“. (C. d. n).

Kronika tygodniowa.

(Nędza na Szlązku. Wieczorek Mickiewicza i rocznica listopadowa. „Cudzoziemka“ Dumasa Syna. Występy pani Modrzejewskiej. Balkon pierwszego piętra. Nowiny literackie.)

Głód na Szlązku...

W tej starej dzielnicy naszego kraju to nie nowina. Dość sobie przypomnieć ów smutny rok 1847, kiedy trupy wygłodzone leżały na drogach.

Nie dość im walczyć o mowę ojczystą, o utrzymanie bytu, o każdą piędź ziemi napadaną przez Niemca, jeszcze ich gnębią siły przyrody.

Wszystkie nieszczęścia i wszystkie ciosy godzą w ten biedny zakątek.

W tym roku zbiory wypadły tak fatalne, że głód już się zbliża.

W okolicach Raciborza, Lubca, Pleszowa i Rybnika pojawił się tyfus głodowy i dzieci mrą z braku pożywienia.

Prasa warszawska zawiązała się w komitet, żeby przyjść z pomocą, poruszyć kraj cały i przypomnieć obowiązki względem rodaków więcej od innych zasłużonych, żołnierzy stojących od tylu wieków na wedecie... Głód szlązki jest przedmiotem zajęcia wszystkich dzienników i na ustcah u wszystkich.

U nas nic jeszcze nie zrobiono!

* * *

Tydzień ubiegły był tygodniem pamiątek. Odbył się, jak zwykle, wieczorek Mickiewiczowski staraniem młodzieży akademickiej, tym razem z wejściem płatnem a dochodem przeznaczonym na budowę pomnika. Program był nadspodziewanie świetnym; pani Modrzejewska wzięła w nim udział. P. Ladnowski, panie: Majewska i Ziembicka, pan Marek, artystyczne siły naszego miasta, które zawsze spieszą z pomocą szlachetnym celom, zachwycały słuchaczów. Dochód był znaczny.

Dziś przypada inna rocznica, której pamięć nigdy nie wygaśnie i dzień będzie zawsze świętem narodowem; rocznica powstania listopadowego... tego wielkiego a świętego ognia, który ogarnął naród cały i popchnął do wielkich czynów, a do dziś dnia jeszcze nas rozgrzewa i każe nie tracić nadziei.

* * *

W szeregu utworów dramatycznych z panią Modrzejewską w głównych rolach, ujrzeliśmy w tym tygodniu rzecz, która jeszcze u nas nie nie była przedstawianą. Jestto nowina z pod pióra Aleksandra Dumasa Syna, pięcioaktowa komedja p. t. „Cudzoziemka“.

Jak wszystko, co od młodszego Dumasa pochodzi, sztuka ta wiele zalet i wiele wad posiada. Znakomity, iskrzący się dowcipem i wytwornością djalog, chociaż nieraz niemożliwie przeciągły, wątpliwej wartości moralność obok świata wstrętnego, ohydnego po prostu, którego my nawet zrozumieć nie możemy. Wszystko to znajdujemy w „Cudzoziemce“, jak i w innych jego utworach, *Dame aux camélias*, *Demi-monde* i *Femme Claude*.

Autor wprowadza słuchacza i widza w te sfery znerwowanego i zużytego społeczeństwa francuskiego, gdzie zgnilizna obyczajowa przejawia się w najwykwintniejszej formie. Każe dotknąć się wrzodów i ran jad sączących, moralizuje przytem w sposób paradoksalny nieuchwytny, dwuznaczny, a potem wszelkie kolizje załatwia bardzo wygodnie dobrze wymierzonym strzałem pistoletowym, albo mistrzowskiem pchnięciem szpady lub innym jakimś środkiem, podpadającym pod paragrafy kodeksu karnego.

W „Cudzoziemce“ znajdujemy ładne towarzystwo... Książę zrujnowany, który się ożenił z córką bogatego mieszczanina dla wyratowania się z długów, Amerykanka, była niewolnica, latająca po świecie jak zmora i z sentymentalnem usposobieniem roznosząca nieszczęście jak zarazę, postać dzika i fantastyczna; parę kochanków platonicznych księżnej pani i wiele innych tego zakroju. Książę, widząc samą księżnę, przysyła do niej przyjaciela i kochanka, żeby ją zabawił, a gdy ten szepce jej słowa miłości, odpowiada mu najspokojniej w świecie, że kocha kogoś innego, a na to wielbiciel z zapałem twierdzi, iż ją tak mocno uwielbia, że gotów jej sam tego drugiego szczęśliwego przyprowadzić.

W ogóle stręczenie odbywa się na wielką skalę...

A jednak po nad tem wszystkiem unosi się jakiś urok poezji, chorobliwej jak kwiat oranżeryjny, coś drażniącego nerwy jak haszysz wschodni, odblaski muzy Mussetowskiej i marzeń bladego Henryka...

Są to cukierki, którym arszenik daje cudowny kolor zieloności... Barwy, światła i cienie wzięte z palety trucizną zaprawionej.

Autor najlepiej sam ich wartość moralną określa dając przestrogę: „nie prowadźcie waszych córek na moje komedje, bo nie dla nich one pisane!“

Należą one do rzędu tych rzeczy, które tylko w inseratach ogłaszane bywają pod tytułem „dla dojrzałych“ albo w muzeach kryją się w osobnych gabinetach.

* * *

Pani Modrzejewska wystąpiła w roli tytułowej. Była to jedyna z ról, w której jej poprzednio nie oglądaliśmy, postać stworzona w ostatnich czasach z całym zasobem środków i znajomości rzeczy, zdobytych ostatnią podróżą. „Cudzoziemka“ jest z woli Dumasa Amerykanką, i pani M. dała nam jej typ tak prawdziwy, tak subtelnie wykończony w szczegółach, że rolę tę zaliczyć można do najprzedniejszych. Już pierwsze ukazanie się na scenie w salonie księżnej des Sept - Monts, zanim słówko wyrzekła, przekonało wszystkich, że się ma do czynienia z typem zupełnie odrębnym, z którym się tylko daleko od nas spotkać można. Ubiór oryginalny, postawa, zaczesanie włosów, przypominały te osóbki, pełne życia, które spotkać można w wszystkich kąpielach Zachodu, albo na wielkich wystawach, swobodnie żyjące jak sarny w lesie i depczące wszelkie reguły utarte w starym świecie z uśmiechem królewien nie mających pana.

To utrzymywanie się w charakterze, aż do ostatniej chwili, aż do ostatniego ubioru w ostatnim akcie było prawdziwie misterne. To nie postać wykrojona według starego szablonu, lecz twórczą siłą przywołana, nie kopia niewolnicza jakichś starych wzorów, lecz oryginał pełen życia, blasku i świeżości, przymiotów, trzymających się rzeczy tylko co stworzonej, jak pyłek barwny skrzydeł motylich, albo puszek świeżych owoców...

Z po za tej formy zewnętrznej przebijała się dusza gorąca i szalona, wybuchająca namiętnemi okrzykami, jak w czwartym akcie, gdzie w długiej tyradzie wypowiada krzywdy, których od dziecka ona i jej matka doświadczyły, a potem zbrodnie, któremi te krzywdy pomścić chciała. Ustęp ten był świetnie wypowiedziany.!

Po wystawieniu księżnej Jerzowej, po Romeo i Julji, pani Modrzejewska opuszcza nas, a sądzimy, że z przyjęcia była zadowoloną. Jeszcze by to bardziej odczuła, gdyby wiedziała, jak Lwów jest obojętny względem teatru, jak od niego formalnie ucieka, a jak się cisnął gdy ona występowała. Jedzie teraz do Warszawy, gdzie już wszystkie bilety na jej przedstawienia zostały rozkupione. Wielka artystka odbywa prawdziwie tryumfalny powrót na nasze sceny.

* * *

Sprawozdawcy dziennikarscy są wybornie usadowieni w naszym teatrze.

Zajmują oni drugi rząd balkonu pierwszego piętra wśród najzabawniejszego otoczenia, które dostarcza im dodatkowej zabawy i jeśli sztuka jest nudna, to mogą to sobie dobrze wynagrodzić obserwacją nad sąsiadami.

Pierwszy rząd balkonu, od loży policyjnej zacząwszy, a skończywszy na loży Wydziału krajowego, jest miejscem zebrania się wszelkiego szyku... lwowskiego. *La gomme de Léopol.*

Zwykle parę wyróżowanych twarzyczek niewieścich, które się dnia boją, urozmaica ten długi szereg głów wypomadowanych. Lecz *te damy* zajmują najskrajniejszą lewicę, uciekają jak najdalej od loży policyjnej, a sadowią się tuż obok niestrudzonych wydziałowych *habitués* naszego teatru.

Zresztą *la gomme* rozsiada się w najrozmaitszych egzemplarzach, od studencika, któremu się wąs jeszcze nie sypie, aż do trzęsącego się staruszka z monoclem w oku, od urzędniczka z Namiestnictwa do wysokich dygnitarzy.

Dwuznaczny dowcipek rzucony ze sceny, wprawia w śmiech cały długi szereg i ukazuje się wystawa zębów najrozmaitszego gatunku. Towarzyszą temu dźwięki przypominające odgłosy z *tattersalu*.

Rozmowy prowadzą się w najlepsze przez cały czas przedstawienia. Komentarze sypią się jak z rogu obfitości. Ale jakie komentarze!

Oto mała próbka.

Nasi złoci młodzieńcy naturalnie należą do ob zu legitymistów. *C'est du chien* być teraz legitymistą. Republika to... jawnogrzesznica, powtarzają.

Na scenie dają „Cudzoziemkę“. Wtem jeden z towarzystwa odzywa się pod koniec sztuki:

— Ten *stary* Dumas pisze już teraz dla republikanów, a dawniej—(tu nastąpiło wymowne westchnienie)—było inaczej...

Chciałbym dalibóg wiedzieć — mimo, że figura ta zresztą bardzo mię mało obchodzi, tyle „co śnieg zeszłoroczny“ — jaki związek między treścią sztuki a republiką wynalazł ten człowiek, jaką drogą odszukał swoją genjalną kombinację, zkąd się dowiedział, że stary Dumas jeszcze nie umarł?

* * *

Za parę tygodni, jeszcze przed nowym rokiem, Lwów będzie miał nowe pismo codzienne. Nie znając bliżej całej sprawy, nie możemy o

tym dzienniku podać bliższych wiadomości, wiemy tylko tyle, że będzie to pisemko mniejszych rozmiarów, rodzaj brukowego kurjera, w którym polityka grać będzie podrzędną rolę, a szpalty oddane zostaną przeważnie na usługi spraw miejscowych.

O innych pismach zwykle koło nowego Roku pojawiających się, nie słychać nic tego roku.

Na półkach księgarskich przybyło kilka nowin literackich. Ukazało się przepyszne wydanie „Starej baśni“ Kraszewskiego, z illustracjami Andriollego w dużym formacie in 4o na pięknym papierze. Jestto jedno z najwytworniejszych polskich wydawnictw.

Księgarnia Polska odszukała i wydobyła z ukrycia nieznane zupełnie tłumaczenie Wilhelma Tella przez J. N. Kamińskiego. Dwadzieścia cztery lat upływa od śmierci zasłużonego i pełnego talentu artysty i pisarza i zdawało się, że wszystkie jego pisma są znane i drukowane, to więc odkrycie jest prawdziwą niespodzianką. Jak wszystko co z pod pióra Kamińskiego wyszło, przekład ten odznacza się pięknym językiem, dobrym wierszem i wiernością tłumaczenia. Wilhelm Tell ukazał się w taniem wydawnictwie „Bibljoteki Mrówki“, która już nie długo będzie miała sto tomików.

Powiastki Litwosa drukowane w „Tygodniu“, wyszły teraz razem w Warszawie.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

za miesiąc listopad.

— *Antoni J. Dr.* Trzy opowiadania historyczne 8ka str. 200. Lwów 1880 zł. 2.

— *Asnyk Adam.* (El...y). Przyjaciele Hioba, komedja w dwóch aktach 8ka str. 100. Warszawa 1879 zł. 1.

— *Bliziński Józef.* Marcowy kawaler. Krotochwila w jednym akcie 8ka str. 21. Lwów 1879 ct. 40.

— *Bobrzyński i Liske.* O Zygmuncie I. 8ka str. 41. Kraków 1879 ct. 40.

— *Dubiecki Marjan.* Kudak, twierdza kresowa i jej okolice. Monografia historyczna, nagrodzona przez akademię umiejętności w Krakowie 8ka str. 139. Warszawa 1879 zł. 1 ct. 25.

— *Eljasz Walery.* Ubiory w Polsce i u sąsiadów. Rytował A. Napierkowski 4o str 19 i 14 tablic Kraków 1880 zł. 3.

— *Engeström Wawr.* Jan Jakób Berzelius. 8ka str. 103. Kraków 1879 zł. 1.

— *Kempis Tomasz.* O naśladowaniu Jezusa Chrystusa. ksiąg czworo, z łacińskiego przetłómaczył X. A. J. Nowe wydanie 16ka str. 493 ct 80.
Oprawne w płótno ang. zł. 1 ct. 40.
Ze złoconemi brzegami zł. 1 ct 60.
Oprawne w safian zł. 2.

—*Krofft Gwido. Dr.* Wielki majątek ziemski naszych czasów. Opis ordynacyj książąt Schwarzenbergów w Czechach. Przełożył z niem. Wł. Zawadzki 8ka str. 319. Lwów 1880 zł. 3. ct. 60.

— *Krasiński Hubert.* Pogadanki naukowe o wodzie warszawskiej. Część I. 8ka str. 77 Warszawa 1879 zł. 1 ct 20.

— *Kraushar Aleks.* Pieśni Heinego. Wydanie nowe przejrzane i poprawione 8ka str. 276. Warszawa 1880 opraw. zł. 3 ct. 50.

— *Kraszewski J. I.* Bratanki. Powieść z podania początku XVIII wieku 2 tomy 8ka str. 228, 211. Warszawa 1880 zł. 3 ct. 30.

—Lublana. Powieść 2 tomy 8ka str. 203, 179. Warszawa 1880 zł. 3.

—Życie i dzieła Krasickiego. Kartka z dziejów literatury XVIII 8ka str. 368. Warszawa 1879 wieku zł. 3 ct. 50.

— *Krótka nauka* o rozmyślaniu i rachunku sumienia przez X** 16ka str. 116. Kraków 1879 ct. 20.

— *Mańkowski Bolesław.* O psychicznych zboczeniach fantazji. Szkic psychologiczno-pedagogiczny. 8ka str. 93. Lwów 1880 zł. 1.

— *Maine Reid.* Wygnańcy w lesie. Przekład z angielskiego przez JB. z 12-ma rycinami. Wyd. drugie 8ka str. 297. Warszawa 1880 zł. 2.

— *Maxwell Clerk.* Materja i ruch 8ka str. 136. Warszawa 1879 zł. 1.

— *Moers Julian z Poradowa.* Kleopatra. Dramat w pięciu aktach 8ka str. 174. Pisa 1879 zł. 3.

— *Orzeszkowa Eliza.* Z różnych sfer. Nowelle i obrazki. Serja I zawiera: Stracone — Dziwak. — Pani Luiza. — Szara dola. — Julianka.— Czternasta część. — Silny Samson. — Milord. 2 tomy. 8ka str. 403, 278. Warszawa 1880 zł. 4 ct, 50.

— *O serwilizmie i o serwilistach.* Studja polityczno-krytyczne przez Samotnika z pod Gołogór. (Giller A) zeszyt I 8ka str. 144. Bruxella 1879 zł. 1 ct. 40.

— *Pamiątka obchodu* uroczystości imienin I. J. Kraszewskiego w roku jego jubileuszowym 1879. Z polecenia komitetu medalowego zebrał i wydał Wawrzyniec hrabia Engeström 4o Str. 96. Poznań 1879 zł. 1 ct. 80.

— *Papłoński Jan.* Zasady i zakres wychowania domowego oraz historja metody poglądowej 8ka str. 52. Warszawa 1879 ct. 55.

— *Pieniążek Przemysław Dr.* Laryngoskopia oraz choroby krtani i tchawicy. 8ka str. 603 i XV tablic. Kraków 1879 zł 7.

— *Platona Gorgias,* w tłómaczeniu polskiem wydał Stanisław Siedlecki 8ka str. 120. Kraków. 1879. ct. 75.

— *Przemówienie* J. I. Kraszewskiego w Krakowie dnia 3 Października 1879 r. 8ka str. 11. Kraków 1879 ct. 20.

— *Rogosz Józef.* Złamanie serca. Powieść 2 tomy 8ka str. 266, 281. Lwów 1880 zł. 3 ct. 50.

— *Sapalski A.* Przewodnik dla organistów, wskazówki jak organy w dobrym stanie utrzymywać reperacje i strojenie ich samemu uskuteczniać i t. d. pogląd teoretyczno-praktyczny dla dozorców kościelnych, proboszczów, budujących kościoły, jak niemniej miłośników muzyki kościelnej objaśniony trzydziestoma drzeworytami. 8ka str. 243. Kraków 1879 zł: 1 ct. 80.

— *Saulsonowa z Feliksów.* Wiązanka powiastek wierszem napisana i dziatwie polskiej na pamiątkę dnia uroczystości jubileuszowej ofiarowana 8ka str. 69. Kraków 1879 ct. 75.

— *Święcicki J. A.* Najznakomitsi komedjopisarze hiszpańscy I „Lope de Vega“ Gabrjel Feller (Tiera de Molina). Don Juan de Alarcon y Mendoza. Studjum literackie 8ka str. 116. Warszawa 1880 ct. 1.80.

— *Swietli Karolina.* Córka kamieniarza. Powieść ludowa przekład z czeskiego Marji Grabowskiej. 8ka str. 116. Piotrków 1879 zł. 1.

— *Vambery H.* Obrazy obyczajowe ze wschodu 8ka str. 456. Warszawa 1880 zł. 2 ct. 50.

— *Wielogłowski Walery.* Podróż po szerokim świecie czyli jak jest gdzieindziej a jak u nas. Wydanie drugie 8ka str. 106. Kraków 1879 ct. 35.

— *Wierciszewski X. Wł.* Kazania niedzielne i świętalne. 8ka str. 387. Kraków 1879 zł. 2 ct 50.

— *Ziemięcki T.* Teorja wpływów kultury fenickiej, krytycznie rozebrana. 8ka. str. 206. Kraków 1879 zł. 2:

— *Żaba N. F. Kościana.* Wiązanka Polaków zamieszkałych w Australji, Nowej Zelandji i Tasmanu na jubileusz Józefa Ignacego Kraszewskiego. 8ka 17. Kraków 1879 ct. 30.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Znowu opuściły prasę trzy nowe tomiki Bibljoteki Mrówki: Sebastjana Klonowicza *Flis* czyli spuszczanie statków Wisłą i t. d., Szymona Szymonowicza *Sielanki*, wydanie kompletne i Aleksandra Morgenbessera *Palestra* czyli wojna prawników, w siedmiu pieśniach, poemat humorystyczny. O dwóch pierwszych, jako powszechnie znanych a stanowiących ozdobę naszej literatury 17 wieku, nie potrzebujemy się rozpisywać. *Palestrę* zaś łatwo możemy scharakteryzować, jest to bowiem rodzona siostra powszechnie znanej i uznanej *Obrony Sokołowa* tegoż autora. Tenże sam humor, taż sama swoboda opowiadania, tylko tło inne i inni bohaterowie. Zresztą licząc, że kto zna *Obronę Sokołową*, a któż jej nie zna? pospieszy poznać i nowy utwór p. Morgenbessera, uważamy dalsze uwagi za zbyteczne. Cena tych wszystkich tomików (79, 80 i 81), jak w ogóle Bibljoteki Mrówki, jest nadzwyczaj niską; kosztuje bowiem każdy tylko 20 centów.

*** Tom drugi cennych pism Litwosa (Henryka Sienkiewicza) opuści niebawem prasę.

Zawierać on będzie opis podróży Litwosa po Stanach Zjednoczonych południowej Ameryki.

*** Wkrótce wyjść ma z pod prasy zbiór powieści p. Stanisława Grudzińskiego.

Mieścić się tu będą powieści ukraińskie p. G. i niektóre inne.

***Nakładem p. Cassiusa ukazała się w oddzielnej książce powieść w dwóch tomach Jana Zacharjasiewicza pod tytułem: „Romans pana Michała.“

Autor poświęcił swą pracę J. I. Kraszewskiemu.

Powieść ta drukowaną była poprzednio w „Wieku“.

***Pożyteczne dziełko Samuela Smilesa pod tytułem: „O charakterze“, przyswojone naszemu piśmiennictwu przez Walerego Przyborowskiego, doczekało się obecnie wydania drugiego.

*** Dziełko Bugna pod tytułem: „Przewodnik w praktycznej nauce stylu dla szkół ludowych“ doczekało się wydania drugiego.

Rzecz ta opracowana jest według dzieła J. Mezlera.

*** Wyszedł z druku tom pierwszy „Żywotów Świętych Pańskich Starego i Nowego Testamentu“ ks. Piotra Skargi.

Jestto wydanie skrócone i zastosowane do użytku osób wszelkiego stanu i wieku.

Całość składać się będzie z sześciu tomów.

*** Praca p. Jeleńskiego „Żydzi, Niemcy i my“, opuści wkrótce prasę w czwartem znacznie powiększonem wydaniu.

*** W handlu księgarskim ukazały się „Powieści Pisma Świętego“ wierszem dla dzieci, opowiedziane przez Jana z Rzeszowa.

*** „Jak psotnikom bywa“, taki jest tytuł publikacji dla dzieci wydanej ozdobnie przez firmę Sennewalda, a przeszczepionej na nasz grunt z francuskiego, przez p. Romana Nowinę.

***Pan E. Rożejewski wydał broszurę p. t. „Wzajemne stowarzyszenia na przeżycie“.

*** Opuścił prasę „Katechizm“ podług wskazówek ks. Wnorowskiego, przez p. Józefa Kamocką opracowany.

*** Stanisław Moniuszko, żołnierz napoleoński, dziś 86letni starzec, umieścił w lwowskim „Łowcu“ swoje „wspomnienia“ o łowiectwie na Litwie, które oryginalną gawędziarską formą, żywem opowiadaniem, prostym a barwnym stylem, mogłyby stanąć obok znakomitych powieści Paska.

*** Firma Gebethnera i Wolffa wydała znowu ładną książeczkę dla młodzieży pod tytułem: „Obrazki dziejowe“, przez Teresę Jadwigę z 6-ma rycinami rysunku Juljasza Kossaka.

Autorka pracę swą poświęciła Kraszewskiemu, a chcąc z okoliczności jubileuszu obznajomić i młodziutkich czytelników z jego piórem, streściła przystępnie znaną historyczną powieść „Krzyżacy“, drukowaną przed kilku laty w „Kłosach“.

Dla uzupełnienia tej pożytecznej książeczki, autorka (Jadwiga P.) dodała kilka obrazków oryginalnych z historji naszej, powieściowym sposobem

opowiedzianych. Wit Stworz, Jan z Kolna, Karol Chodkiewicz i Sobieski rysują się przed oczyma młodziuchnych czytelników na kartach tych powiastek.

Ołówek Kossaka przyozdobił dziełko Jadwigi Teresy kilkoma ładnemi rysunkami.

Przybył tedy „na gwiazdkę" bardzo stosowny i wdzięczny podarek dla naszej młodzieży.

⁂ Jeden z literatów warszawskich opracowywuje „Mitologję starożytną dla dzieci".

⁂ Komandor Cezar Correnti, kanclerz orderów w Italji, tłómaczy wierszem włoskim Urszulkę Kochanowskiego, a to celem uczczenia zbliżającego się jubileuszu lirników naszych.

⁂ „Jadwiga i Jagiełło" Szajnochy wychodzi obecnie w przekładzie rosyjskim w Petersburgu.

⁂ Wyszedł z pod prasy w oddzielnej odbitce z „Revue Slave" przekład francuski „Hrabiny Kosel" Kraszewskiego, dopełniony przez p. Miena.

⁂ M. v. Rehden przełożył na język niemiecki i wydał w Poznaniu u Jolowicza konkursowy dramat El..yego „Kiejstut".

Nauka.

⁂ Prywatny docent uniwersytetu berlińskiego, dr. Wojciech Adamkiewicz, mianowany profesorem zwyczajnym patologji ogólnej i doświadczalnej na uniwersytecie krakowskim.

⁂ Dr. Zygmunt Bośniacki zaproszony został na członka komitetu geologicznego i wezwany do zbadania pókładów prowincji pizańskiej i liworniańskiej. Dr B. klasyfikował już zbiory kilku uniwersytetów włoskich. Jedno z odkryć geologicznych dra Bośniackiego, ochrzcone zostało przez świat naukowy jego nazwiskiem.

⁂ We czwartek odbyła się recepcja Henryka Martina w akademji paryskiej. Wypowiedział on mowę pochwalną na cześć swego poprzednika, Adolfa Thiersa. Mowa przyjęta została zimno przez licznie zgromadzoną publiczność sfer wyższych. Odpowiedział na nią Marmier.

⁂ Belgijska państwowa nagroda pięcioletnia w sumie 5000 franków, preznaczona dla umiejętności ścisłych, przyznaną została dyrektorowi brukselskiego obserwatorjum, panu Houzeau za jego dzieło: „Uranométrie générale avec une étude sur la distribution des étoiles visibles a l'oeil nu", nagrody zaś królewskiej, 25,000 franków, nikt nie otrzymał.

Prasa perjodyczna.

⁂ „Kosmos", czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszytach 7—9 1879 r., zawiera: 1. Kilka słów o tworzeniu się t. z. kokonów czyli torebek zawierających jaja karakonu, napisał Henryk Kadje. 2. O istocie pochłaniania gazów, rozprawa dr. Zygmunta Wroblewskiego. 3. O zasadniczych prawach przyrody, napisał dr. Oskar Fabian. 4. Jeszcze słów kilka o prawach, na jakich opiera się mikrofonja, napisał Dr. Z. Wróblewski. 5. O przezroczystości powietrza w różnych wysokościach nad poziomem, podał Dr. Ludwik Birkenmajer. 6. Przegląd krytyczny podręczników przeznaczonych do wykładu nauk przyrodniczych w szkołach średnich, przez Drów. A. Freunda i Petelenza. 7. Kronika naukowa. 8. Wiadomości bieżące.

⁂ Mamy przed sobą prospekt „Wieczorów rodzinnych", czasopisma tygodniowego illustrowanego, przeznaczonego dla dzieci od lat 9 do 14.

„Wieczory" wychodzić będą od Nowego roku, a inicjatorką ich i redaktorką jest panna Ludwika Haukówna.

Przedmowa napisaną jest krótko a otwarcie — na zakreślony w niej program każdy obywatel, ojciec rodziny, zgodzić się musi.

Zamierzona treść szeroka acz odpowiadająca w zupełności moralnemu poziomowi czytelników.

Kierownictwo części literackiej objęła p. Marja Julja Zaleska, atorka „Czwartkowych obiadów" — skład redakcji tworzą panie: Aleksandra z Chomętowskich Borkowska, hr. Anastazja Dzieduszycka, Paulina Krakowowa, Zuzanna Zajączkowska; dalej pp. Anczyc, Pług, Tadeusz Kowalski i Władysław Nowicki.

⁂ „Gospodyni wiejska" w bieżących kilku numerach pomieściła wiele interesujących artykułów.

Między innemi w artykule „Przemysł wiejski" zaleca redakcja urządzanie „zakładów konserwowania produktów spożywczych", które to zakłady, na obszerną skalę rozwijane w Ameryce, zagrażają niebezpiecznem współzawodnictwem na targach europejskich, nawet w przedmiotach najpierwszych potrzeb spożywczych.

Pouczającem też jest sprawozdanie „z zarybiania rzek w Galicji", za staraniem profesora dra Nowickiego, założyciela krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie.

Profesor Nowicki osobiście zajął się sztucznym wychowem narybku łososi, lipieni, pstrągów i karpi, co powiodło się w zupełności, z zastosowaniem skrzyneczek wylęgowych kalifornijskich.

Zajmującą jest również wiadomość i wskazanie sposobu wychowu „nowego gatunku jedwabnika dębowego" (Antheraea Parnyi) — żywiącego się liśćmi dębowemi, dającego się hodować w naszym klimacie na wolnem powietrzu, na drzewach — co nie miało dotychczas powodzenia w hodowli znanych dotąd gatunków jedwabników.

W artykule „o ochronie i wychowie kuropatw" ciekawym jest opis na wpół swojskiego ogródkowego wychowu, w celach rozplenienia tak pożytecznego ptactwa.

Opis i zwrócenie uwagi „na sztuczną uprawę grzybów jadalnych" we Francji, Anglji, Belgji. Austrji i we Włoszech dają wielce pouczającą wskazówkę i zachętę dla naszej tego rodzaju produkcji.

Liczne wreszcie przepisy z zakresu kuchni, spiżarni, pasztetnictwa i ogrodnictwa wypełniają sumiennie obszerny program pożytecznego pisma „Gospodyni wiejskiej."

⁂ W krakowskim „Przeglądzie lekarskim" czytamy co następuje:

„W numerze 45. „Allg. w. med. Zt." znajduje się artykulik dra Leopolda Glück z Krakowa, traktujący o lekarzu naszym Wojciechu Oczko.

„O ile nam wiadomo, dr. Klink w Warszawie wygotował obszerną rozprawę o tym lekarzu, jednak nie wiemy, czy i gdzie wydrukowaną została".

⁂ Według krążącej wersji, wychodzić ma od Nowego roku w Warszawie pismo codzienne w języku rosyjskim p. t. „Wisła".

⁂ W Warszawie powstał projekt wydawania dwutygodnika w języku niemieckim; rzecz bliską jest urzeczywistnienia.

⁂ „Monde ilustré" powtarza z „Figara" opis jubileuszu Kraszewskiego, dodając rysunek Kossaka.

⁂ W Rzymie z dniem 1. stycznia zacznie wychodzić urzędowy organ Watykanu w kilku jednocześnie językach. Będzie on nosił tytuł „L'Aurora" i ukazywać się ma w dwóch wydaniach, jedno dla klas wyższych, a drugie dla ludu. Redakcją zajmą się Don Pietro Balan i monsignore Schiaffino, wytrawni teolodzy.

⁂ „Marseillaise" przekształciła się w pismo tygodniowe, ustępując miejsca codzień wychodzącemu „Mot d'ordre", do redakcji którego przeszli wszyscy dotychczasowi jej współpracownicy.

⁂ Ukonstytuował się wolny związek dziennikarzy paryskich, do którego przystąpiło dwadzieścia pięć pism.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ „Obliczenie jak najściślejsze, oparte na wykazach liczby pasażerów przewiezionych w ciągu 25 ostatnich lat na wszystkich istniejących dziś kolejach w porównaniu z liczbą nieszczęśliwych wypadków dowodzi, że człowiek, któryby całe życie przepędzał w wagonie, gdyby nie miał inaczej umrzeć, jak przez katastrofę kolejową, dożyłby 960 la wieku"...

⁂ W Peszcie zmarły niedawno biskup hr. Dominik Zichy zapisał na cele dobroczynne kościelne przeszło 41,000 guldenów, a kanonik Andrzej Panthy w Jagrze ofiarował 60,000 guldenów na założenie wyższego zakładu wychowawczego w Török-Szt-Miklos.

⁂ W Warszawie w jednym z domów na Nowym-Świecie zaprowadzone zostały dla dogodności lokatorów, a zarazem osób, do nich przychodzących... telefony!

Jedne z nich umieszczone są w sieni przy drzwiach wchodowych obok dzwonków elektrycznych, inne w mieszkaniach lokatorów.

⁂ Z Sydneju donoszą pod datą 9. października: Wystawa sprowadza tu mnóstwo osób z sąsiednich kolonij i z zagranicy. Urządzenie różnych podwórzy i ogrodów pałacu wystawowego obecnie całkowicie ukończone. W połączeniu z wystawą urządzony będzie międzynarodowy przegląd okrętów.

⁂ W Sydney obraduje międzynarodowy kongres stowarzyszeń rzemieślniczych dla rozwiązania kwestji przychodźtwa, ośmiogodzinnego systemu roboczego, ustawodawstwa stowarzyszeń rękodzielniczych cła ochrończego i innych przedmiotów; kongres oświadczył się przeciw wspomaganiu przybyszów.

⁂ W Gotha w ostatnich dniach dokonano spalenia zwłok pewnej damy z Lipska i mężczyzny z Wiednia; był to trzynasty i czternasty tego rodzaju pogrzeb.

⁂ W Medjolanie w tych dniach w obecności kilku lekarzy i naczelnego inżyniera, spalono zwłoki sześćdziesięcioletniego starca za pomocą zupełnie nowego aparatu; proces spalenia trwał półtorej godziny.

Komunikacje.

⁂ Z Petersburga nadeszło dla p. Eustachego Swieżawskiego, właściciela dóbr ziemskich w powiecie hrubieszowskim i tomaszowskim, pozwolenie na przedsiębranie studjów nad drogą żelazną wicynalną od jednej ze stacyj kolei nadwiślańskiej (Chełm lub Dorohusk) do Tyszowiec, Tomaszowa lub nawet do granicy galicyjskiej.

⁂ Projektowane jest połączenie Liverpoola z Birkenheadem tunelem idącym pod Mersey; koszta przedsięwzięcia obliczono na pół miljona funtów szterlingów.

Podmorski drut telegraficzny z Durbanu w Natalu do Zanzibaru, mający długości 3.200 kilometrów, został wykończony całkowicie. Stacje pośrednie ustanowiono w zatoce Delagoa i Mozambiku. Po ukończeniu linji Durban-Zanzibar przystąpią do połączenie Zanzibaru z Adenem (2900 kilom.) Roboty te zostaną wykonane w ciągu grudnia, a wtedy będzie można telegrafować bezpośrednio z Londynu do Capu.

⁂ W Meksyku przystąpiono do budowy drogi żelaznej, która przechodzić ma przez międzymorze Tehuantepek, poczynając od portu położonego przy ujściu Goatzacoaleos, aż do łagunu wyższego nad brzegiem oceanu Spokojnego. Przestrzeń wynosi około 560 kilometrów. Kolej ta będzie wykończoną w ciągu lat trzech.

⁂ W Paryżu Paweł Sebillot, znany podróżnik po Afryce, miał konferencję o kolei żelaznej przez Saharę, podnosząc jej wysoką doniosłość tak ze względu wielkiej urodzajności, jako też i rozległości Sahary.

⁂ Twórca kanału suezkiego Lesseps udaje się z rodziną do Ameryki, ażeby tam na miejscu studjować prejekt budowy międzyoceanowego kanału przez przesmyk Panamy.

⁂ Petersburgskie koła finansowe zajmują się sprawą przedłożenia rządowi projektu o budowie kolei żelaznej z Orenburga do Taszkentu, Samarkandu i najdalszej granicy rosyjskiej w kierunku Indyj; długość kolei wynosiłaby 2650 wiorst.

Zjawiska przyrody.

⁂ Śniegi spadły w wielkiej obfitości w całej prawie środkowej Europie.

Na wielu kolejach austrjackich, mianowicie w Górnej Austrji, Solnogrodzkiem, Styrji i w Czechach z powodu zasp nastąpiły przerwy w komunikacji.

Miejscami leżał onegdaj śnieg na 3 metry wysoko.

Wysłane dla oczyszczenia torów pługi śnieżne ugrzęzły w zaspach.

Między Riedau a Neumarkt zasypany został pociąg, a kiedy ruszono z nim przy pomocy maszyny rezerwowej, wykoleiło się pięć wagonów.

Wypadku z ludźmi na szczęście nie było nigdzie.

Na przestrzeni Steindorf-Braunau przy największych wysileniach nie zdołano pokonać zasp, musiano więc ruch zawiesić.

Burza śnieżna sięgała ku wschodowi aż za Czerniowce.

***** W Insbrucku 18. listopada o godzinie 5 minut 50 rano, dało się uczuć silne trzęsienie ziemi z głuchym łoskotem.**

***** Z Islandji donoszą, iż w dniu 24. września zauważano tam silne trzęsienie ziemi, które przypisują wybuchom wulkanicznym w górach Krinswick, gdzie od czasów niepamiętnych żaden wulkan nie był czynnym.**

ROZMAITOŚCI.

*** Z życia. Smutna powiastka. — Czerpiemy wiadomość z „Gołosu“ (Nr. 275), który ją podał z „Russk. kurjera.“

Uczeń gimnazjum V-go w Moskwie, w wieku lat 14, syn doktora S-ego, celował we wszystkich przedmiotach, niewyłączając i martwych języków. Losy chciały, ażeby brat młodszy naszego bohatera zachorował niebezpiecznie; a był ulubieńcem całej rodziny. Ojciec spędzał noce przy chorym, a bohater nasz również dozorował braciszka, pomagając ojcu Znużony, nie mógł przygotować się należycie do lekcji. Nazajutrz, jak na złość, zostaje wyrwany przez greka. Odpowiada niedobrze, i celującemu uczniowi (Sprawiedliwość ma chustę na oczach), grek daje, naturalnie, jedynkę. Ojciec się zmartwi, mój Boże! cóż pocznę? — myśli biedny chłopak. — Nie, wolę fałszerstwem splamić sumienie, aniżeli ukochanego ojca smutku nabawić! — Z jedynki robi się czwórka. — A jak ci ta siekierka u pałki spadnie na głowę chłopczyka? Znowu nie słuchasz? — Ojciec podpisał stopnie. Jakże je zwrócić zwierzchności? Scyzoryk usunie siekierkę; — jedynka jakkolwiek oskrobana, przywrócona będzie do życia. — „Cogitatum, factum.“ — Ale skrobaninę zwierzchność dostrzegła — Wyznał wszystko winowajca, jak było, z całą szczerością i prawdą. Zwierzchność powiada, że występek poddany zostanie roztrząsaniu rady, poczem, najprawdopodobniej, fałszerz będzie wyrzucony ze szkoły. — Mój malcze! usuń się ze świata, znikaj z ziemi oblicza — jesteś fałszerzem, jesteś oszustem — cóż ci teraz po życiu, z sumieniem zapruszonem? Waha się lecz zdaje się, że głosu tego posłucha. — 14-letni chłopczyk pisze list, w którym zawiadamia dyrekt. gimnazjum, że, ponieważ odbiera sobie życie, szanowny zwierzchnik nie potrzebuje roztrząsać smutnej sprawy na radzie; z rodzicami zaś żegna się czule dziecię — tkliwie — na zawsze. Udaje się potem na stację Lublino — i tam — rzuca sic pod koła obojętnego na wszysko pociągu.

*** Szlachta francuska.

Hrabia Haner Steenhuyze w wydanej niedawno książce swej p. t. „Les Coutumes Feodales“ podaje zajmujące szczegóły o znacznem zwiększeniu się liczby szlachty francuskiej w ciągu bieżącego stulecia.

Według autora tego, Napoleon I kreował 41 książąt, 388 hrabiów i 1.090 baronów; restauracja kreowała 87 książąt, 70 markizów, 63 hrabiów, 62 wicehrabiów, 215 baronów i 785 szlachty; monarchia lipcowa 3 książąt, 19 hrabiów, 17 wicehrabiów i 59 baronów, a nareszcie cesarz Napoleon III kreował: 12 książąt, 19 hrabiów i wicehrabiów, 21 baronów i 368 szlachty.

Oprócz tego około 500 osób otrzymało w tem stuleciu we Francji rozmaite tytuły dworskie i dygnitarstwa, z czego wypływa, ża od czasu wielkiej rewolucji około 3,000 Francuzów weszło do klasy uprzywilejowanej.

Ogromna ta cyfra zdaniem hr. Hanera dowodzi, że pomimo wszelkich demokratycznych na pozór instytucyj w naturze Francuzów leży zamiłowanie w odznakach wcale niedemokratycznych.

*** U cichego poety.

Swieżo zmarły w Wiedniu Ferdynand Kürnberger, niepośledni poeta niemiecki, przyjmował u siebie mało osób.

Książę Sasko - Meiningeński właściciel słynnej trupy aktorów, zapukał raz do drzwi jego.

Kürnberger był w nocnym negliżu — tak bowiem zwykle pracował.

Wejście książęcego gościa nie zmieszało go wcale; wszczęła się rozmowa, bez zmiany kostjumu, mniej więcej następująca:

— Pan doktor Kürnberger?

— Tak jest.

— Jestem książę Meiningen.

— A! a!

— Moja żona i ja cenimy pana wysoko, i pragnąłem już od dawna poznać pana.

— A! a! proszę siadać!... bardzo obowiązany!

Tu zapytał książę, nad czem autor obecnie pracuje?

Kürnberger podaje mu milcząco swój utwór, świeżo wydany.

— Możesz książę tę zabrać ze sobą.

Książę dziękuje i ciągnie dalej:

— Śmiałbym prosić pana, ażebyś raczył jutro zjeść obiad z nami.

— Dlaczegoż nie?... a gdzie to?

— Naturalnie, że u mnie.

— Dobrze! ale zwracam uwagę książęcej mości, że nie mam fraka.

— To przyjdź pan w surducie.

Na tem skończyła się wizyta u jednego z tak zwanych „dziwaków“, co umierają bez pensji książęcej, bez tytułu radcy i bez orderów.

Żyją potem co prawda — na kartach literatury.

*** Kluby paryskie.

Powszechnie nie wiadomo, jak wielką rolę grają w Paryżu kluby ze swemi wytwornemi jadalniami, salami gry, czytelniami, salami fechtunku, bilardowemi itd.

Gra stanowi tam ważny czynnik, ale w najwybitniejszych z nich nie bywa rzeczą główną.

Niejakie pojęcie o znaczeniu, które kluby paryskie posiadają w życiu towarzyskiem stolicy, może dać ułożona świeżo przez redakcję „Figara“ tablica statystyczna, kilka ogromnych stronnic zajmująca.

Przekonywamy się z niej, że w Paryżu istnieje siedmnaście wielkich klubów.

Z tych największą liczbą gości cieszy się: „Cercle artistique et littéraire de la rue Saint-Arnaud“, nazywany zwięźlej; „Saint-Arnaud“, albo „Crémerie“: wytworniejszym jednak od niego jest: „Cercle des Champs-Elysées“, zwyczajnie nazywany: „Impérial“.

Pierwszy z nich liczy 1440 członków, drugi 385.

Za to jednak ostatni liczy w swojem gronie czterech książąt panujących: króla holenderskiego, belgijskiego, portugalskiego i szwedzkiego; prócz tego cztery: „cesarskie“ lub „królewskie“ wysokości, a mianowicie wielkich książąt Konstantego i Mikołaja rosyjskich, księcia Walji i księcia Cambridge, tudzież kilku książąt, spowinowaconych z dworami panującemi.

„Cercle Agricole“ nie ma wprawdzie na liście członków „tronowych“ ale za to liczy najwięcej godeł najwyższej arystokracji, najwięcej: „duc'ów“ i „prince'ów“.

Jednym z najświetniejszych jest naturalnie „Jokey Club“, liczący 787 uczestników, a między tymi dwie głowy koronowane; króla belgijskiego i holenderskiego, a cztery wysokości książęce: księcia Walji, ks. Leuchtenberskiego, księcia Milana serbskiego i królewicza duńskiego.

Swiat literacki i artystyczny ma swoje dwa kluby; oprócz wymienionego na początku słynie klub: „Union Artistique“, powszechniej znany jednak pod mianem: „Mirliton“.

Tu należą: cesarz brazylijski, książę Walji, ks. de Chartres, książę d'Aquila, książę de Castries, ks. Bibesco, ks. d'Arenberg, dwóch książąt Golicynów i dwóch Polignac'ów.

„Jockey-club“ zbiera rocznie od swoich członków, tytułem składki klubowej 275,000 franków. „Mirlitony“ gromadzą 200,000 fr.; najświetniejszy zaś „Imperial“ płaci rocznie za sam lokal 200,000 fr.

Obydwa kluby artystyczne: „Cremerie“ i „Mirliton“ urządzają koncerta, wieczory dramatyczne i wystawy obrazów.

„Cercle International“, stoi w bezpośrednich stosunkach z klubami całego świata.

Gdy jego członkowie przybędą do Berlina, stwierdzenie, iż należą do wymienionego klubu paryskiego, otwiera im podwoje tamtejszego „Union-clubu“.

Posiada on podobnyż kartel wzajemności z „klubem szlacheckim“ i „żokiejskim“ w Wiedniu, z „międzynarodowym“ w Baden-Baden i „Unią“ hamburską.

Związek ten rozciąga się również na wszystkie miasta prowincjonalne francuskie, na 26 klubów londyńskich, na kluby w Danji, Szwecji, Hiszpanji, Włoszech, Petersburgu, Moskwie, Warszawie, a nawet Santiago i Valparaiso w Chili, tudzież na dwa kluby w Buenos Ayres.

*** Szalony zakład.

Synowie Albionu cieszą się, jak wiadomo, „spleenem“.

Pomiędzy cierpiącymi na tę narodową chorobę wybitne zapewne miejsce zajmuje ów Anglik, który przez długi łat szereg jeździł od miasta do miasta za pogromcą dzikich zwierząt Crokettem, w zawistnej nadziei, iż raz kiedys przecie ujrzy go rozdartym przez gniewne bestje.

Ten marzyciel znalazł świeżo towarzysza swojego dziwactwa w pewnym amerykaninie.

Niejaki Mr. Thompson ze Stanów Zjednoczonych towarzyszy już od dłuższego czasu słynnemu linoskowi Blondinowi ktory obecnie gości w Wiedniu.

Człowiek ten założył się w pewnym klubie o 50,000 dolarów — było to zapewne jeszcze wtedy, gdy Blondin przechodził przez Niagarę, że ten cudowny tancerz na linie, zanim dojdzie do 60 lat życia, spadnie i złamie sobie nogę.

Jeszcze pięć lat wędrować musi Mr. Thompson do rozstrzygnięcia zakładu — dla Jankesa, który uważa czas zapieniądze, długi to czas!...

*** Z Ameryki. W Cleveland istnieje stowarzyszenie starych panien, mające bardzo surowe ustawy przeciw małżeństwu. Za każde wykroczenie przeciw obowiązującym przepisom wyznaczone są kary, za mniejsze winy płaci się kara w formie placków, lub monety; za większe, na podeszwie u prawej nogi winowajczyni, wypalają się litery. Niedawno odbyło się ogólne zebranie stowarzyszenia. Przewodnicząca znajdowała się w wielkim kłopocie, bo nietylko, że pozwoliła wyjść za mąż sześciu stowarzyszonym, ale nadto jeszcze i sama zawarła związek małżeński.

*** Sześć przykazań dziennikarskich.

Jeden z dzienników niemieckich podaje następujące reguły dla wszystkich współpracowników i osób korespondujących z redakcjami

1-sze przykazanie: Masz pisać tylko po jednej stronie, gdyż często zdarza się, że dla pośpiechu, lub innych jakich przyczyn, trzeba rękopism twój pociąć na kilka kawałków dla drukarni.

2-gie przykazanie: Masz pisać czysto i wyraźnie, szczególniej imiona własne i wyrazy zapożyczone z obcych języków, albowiem niegodną rzeczą jest zabierać zecerom i redaktorom czas na odcyfrowanie twoich hieroglyfów.

3-cie przykazanie; Nie powinieneś pisać maczkiem, bo zecer nie na to ma dobre oczy, abyś mu je psuł czytaniem manuskryptu, a redaktor aby musiał mikroskopu używać przy poprawianiu artykułu twego.

4-te przykazanie: Pamiętaj, abyś nie zaczynał pisać odrazu u samej góry; zważ bowiem, że często tytuł zmienić, lub — co najlepiej — dopisać wypadnie, a nadto potrzeba zostawić miejsca redaktorowi do stosownych poleceń zecerowi i t. d.

5-te przykazanie: Nie miej zwyczajów zwijać manuskryptów swoich w rulon, albowiem to przeszkadza później przy przewracaniu kartek i czytaniu, a irytuje niepotrzebnie redaktora, zecera i korektora.

6-te przykazanie: Podpisuj się wyraźnie całem imieniem i nazwiskiem, nie zaniedbaj też dodać: ulicę, miejsce mieszkania i numer domu; podpis twój będzie rękojmią wiarogodności, a adres bardzo przydać się może redakcji — pod pseudonymem nie zawadzi podpisać prawdziwe nazwisko dla wiadomości samego redaktora.

Tak czyń, a nie będziesz wyklinany przez zecerów i nie będą ci złorzeczyć korektorowie!

Treść Nr. 44. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.